NR 18 (94)
ROK III

TYDZIEŃ

9. V. 1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



Fot. EAGLE-LION

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA“

NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY



338 Jędruś Lewandowski twierdzi, że mężczyźni górą!



283 Tadzio Bartkowski (N. Miasto Lubawskie)



317 Iwonka Sobańska (Chełm Lubelski)



316 Marylka Sobańska (Chełm Lubelski)



309 Adzio Olszewski (Poznań)



335 Rysio Woch (Lublin)



326 Jerzyk Trębacz



311 Grażyna Stani (Ząbkowice)



332 Andrzejek zawsze rozweseli Elusię



321 Zamyślony Andrzejek Pawlak (Poznań)



307 Irenka Noworolnik (Puławy)



331 Basia Malessówna na spacerze



241. Dorota i Witek Witord (Białogard)



233. Elżunia Nowakówna (Kraków) z misiem



301 Ala Zarzycka (Nowogard)



268 Iwonka Müllerówna (Poznań)



247. Hania Jurkowska (Wrocław) „społemowskie dziecko"



271 Pierwsza miłość Krysi Dudekówny



289 Wituś Donimirski



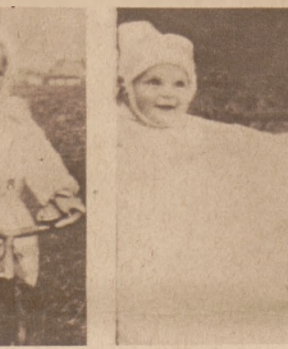
281 Milunia Klein z Lublina



237. Marek Kotwica



248. Rysio Chabior (Wąbrzeźno)



293 Rysio Cichoń z Wielunia



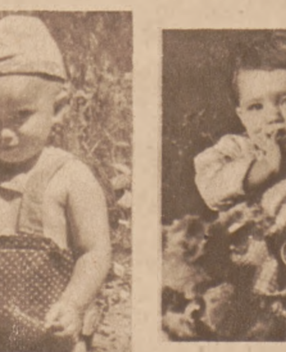
258. Danusia Kaliszewska



254. Krysia Krypska (Warszawa)



235. Hultajska trójka z Bytomia



196 Rysio Świetlik (Kraków)



277 Andrzejek Kurdziel



115 Zamyślona Halinka Świderska (Świebodzin)



282 Ewunia Środzińska



300 Basia Matablewska



250. Haneczka z Łańcuta



234. Eliza Wójcikówna (Ryki) i jej kochany piesek



265 Monika Mrozowska w otoczeniu najbliższej rodziny



245. Wojtuś Wróblewski (Gubin)



232. Januszek Modliński (Ciechanów)



294 Ewunia Florkiewicz chwyciła już za swoją nóżkę



272 Hanka Lipińska (Kock)



297 Maryś Karasiński ciekawy jest, które zajmie miejsce w konkursie



273 „My dwie Warszawianki"





262 i 263 Basia i Jurek Kucharscy (Łowicz)

252. Zamyślona Krysia Kropiwnicka (Mińsk Maz.)

286 Ninka Jagodzińska (Gdańsk)

ODSTĄPIĆ NIE MOŻEMY

9 MAJA 1945 roku nastąpił akt kapitulacji hitlerowskich Niemiec. W ten sposób nie sprawdziło się jeszcze jedno „proroctwo" wodza Trzeciej Rzeszy, który do ostatniej chwili z maniackim uporem twierdził, że Niemcy nigdy nie skapitulują i który, popełniając samobójstwo chciał je popełnić razem z całym narodem niemieckim.

W ten sposób też dokonał się — tak się zdawało — akt dziejowej sprawiedliwości, oczekiwany przez całą ludzkość z niezmienną wiarą od pierwszego dnia wybuchu wojny. W okresie, kiedy wszystkie wartości ludzkie zostały obalone, kiedy wszystko na czym opierało się ludzkie poczucie dobra i słuszności wdeptano w krwawe błoto — w tym czasie ta wiara stała się ostatnim i jedynym oparciem psychicznym dla człowieka, który nie chciał zgodzić się z upadkiem całego tworzonego przez wieki cywilizacji porządku moralnego, będącego przecież w jego mniemaniu podstawą porządku świata.

W JAKIKOLWIEK bądź sposób do tej pory ludzkości udawało się godzić brutalny akt wojny z pojęciami ogólnie przez wszystkie kultury i religie przyjętych zasad moralnych, o tyle tym już razem w tej wojnie nie znalazło się nic, co mogłoby przy najdalej bodaj posuniętym kompromisie racji stanu i moralności ogólnoludzkiej usprawiedliwić fakty w całym naszym cyklu cywilizacyjnym niespotykane.

BYŁ wspaniały moment triumfu wartości ogólnoludzkiej w zjednoczeniu wszystkich narodów i systemów politycznych przeciwko demonizmowi samego tylko zła, będącego jedyną i wyłączną treścią całej od a do z filozofii hitlerowskiej, całego płynącego z niej hitlerowskiego prawa i całego systemu działania.

W WALCE, która przybrała patetyczny wręcz charakter krucjaty przeciwko złu zjednoczyły się ze sobą krańcowo różne systemy polityczne, krańcowo różne światopoglądy. Jeżeli burżuazyjny liberalizm i leninowski komunizm mogły stanąć i stanęły w jednym szeregu i związały się ze sobą wspólną walką i szczerym porozumieniem to na tym właśnie polegał wielki triumf ludzkości, bo okazało się — tak się zdawać mogło — iż pomiędzy ludźmi, którzy nie zrezygnowali z człowieczeństwa i pomiędzy krańcowo różnymi postawami ideologicznymi nie ma różnicy w ocenie nagiej, cynicznie bezczelnej zbrodni.

KAŻDEJ ze stron wolno było zostać przy własnym programie ideologicznym, politycznym, gospodarczym. Żadna ze stron nie rezygnowała na rzecz drugiej ze swojego własnego poglądu na rolę człowieka w świecie i zasady mającej jej zdaniem organizować życie społeczeństw. Sojusz krańcowo różnych systemów polityczno - ideologicznych nie miał w sobie nic z kompromisu, był natomiast potwierdzeniem wspólności podstawowych zasad moralnych jednakich dla wszystkich, co mieni się być ludzkie.

Można było różnić się poglądem w stosunku do liberalistycznego automatyzmu gospodarczego bądź gospodarki planowej, można było różnić się poglądem na istotę demokracji, jedno jest pewne, że nikt nie mógł się zgodzić i nie godził z krematoriami, jako systemem rozwiązania problemów narodowościowych, że ludzie wychowani w innym całkiem klimacie politycznym i ideologicznym zgodzili się, iż nie można mówić „białe" tam, gdzie cień zbrodni czarniejszy był od najciemniejszej nocy.

DLATEGO też my, ludzie, którym w udziale przypadło przeżyć i widzieć tak wiele, ludzie mający w swoim krótkim życiu trudny do ogarnięcia ciężar wspomnień, wiążemy z tym krwawym i dramatycznym w wyrazie okresem — okresem śmiertelnych zmagań z hitleryzmem — wspomnienie moralnie dodatnie.

RÓŻNE mundury i odznaki nosili na sobie żołnierze depczący w wysiłku inwazji skrwawioną ziemię wroga. Różnymi językami mówili żołnierze, którzy otwierali bramy hitlerowskich obozów śmierci, przynosząc ich ofiarom ocalenie. Z równą grozą przyjęli ludzie mówiący różnymi językami i różną wyznający wiarę wiadomości o wstrząsających odkryciach dokonanych przez wszystkie armie w kazamatach hitlerowskiej zbrodni. I mieliśmy wówczas wszyscy w sercach uczucie ulgi i nadziei wytchnienia, jakie dawała nam pewność, iż zbrodnia będzie ukarana i ludzki porządek moralny przywrócony bez względu na to w jaki sposób, według jakiego systemu politycznego i gospodarczego zechcemy urządzić sobie w przyszłości życie.

Nie spodziewaliśmy się, że odtąd nastąpi era powszechnej szczęśliwości i ogólnej zgody. Wiedzieliśmy, że ciężko borykać się nam przyjdzie o realizację naszych dążeń, naszych ideałów o urządzenie świata podług norm, jakie uznaliśmy za słuszne. Wydawało się nam jednak, że w chwili, kiedy przychodzi nam w trudzie i mozole pisać nową kartę swoich dziejów, tamta karta, ponura, krwawa i haniebna jest już odwrócona, zamknięta i wspólnym wyrokiem przypieczętowana.

TĘ PEWNOŚĆ dzisiaj w nas zachwiano.

Zwiewna i nietrwała bywa pamięć ludzka. Ale są rzeczy, których ona wyrzucić z siebie nie zdoła. Wieloznaczny i pokrętny bywa język dyplomatów. Ale i on nie sprawi, żebyśmy mieli zapomnieć. I jakiekolwiek przytaczanoby nam dzisiaj nowe racje my mamy jedną i z tej zrezygnować nie możemy — rację norm moralnych zawsze i wszędzie, w każdej epoce i każdym systemie politycznym obowiązujących. Jakikolwiek byłby zawiły i pokrętny język dyplomatów dla nas, dla ludzi różnych ras, kultur, i różnych światopoglądów jedna jest tylko nazwa dla zbrodni i jedna prawda: że po zbrodni musi nastąpić kara.

TAKA jest nasza racja. Innej przyjąć nie możemy. Za nią ginęły miliony, ona była usprawiedliwieniem śmierci, mąk, nieogarnionej hekatomby ofiar. Dlatego właśnie odstąpić od niej nam nie wolno. Odstąpić **nie możemy.**

ŁUNA NAD PALESTYNĄ

Zdawało się, że uchwalając podział Palestyny między dwa narody, Generalne Zgromadzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych znalazło najbardziej sprawiedliwe rozwiązanie. Decyzja zapadła kwalifikowaną większością głosów, według wszelkich reguł demokratycznych mniejszość powinna się była podporządkować wyrokowi. Tymczasem drobna mniejszość krajów arabskich, reprezentowanych w ONZ nie podporządkowała się woli większości i postanowiła siłą bronić swego własnego programu w sprawie Palestyny. Jest to program maksymalny żądający przyznania całej Palestyny Arabom. Jest on jednak nie do przyjęcia oznaczałby on bowiem jednocześnie wstrzymanie wszelkiej imigracji żydowskiej do Palestyny, co nie rozwiązywałoby ani zagadnienia żydowskego, ani zagadnienia samej Palestyny. Przyrost naturalny arabski jest bowiem znacznie większy, aniżeli żydowski i wstrzymanie imgracji oznaczałoby skazanie Żydów w Palestynie na zupełną majoryzację ze strony Arabów, a w końcowym efekcie procesu również na zupełną zagładę żywiołu żydowskiego, w tym kraju i wielkiego dzieła cywilizacyjnego, jakiego już dokonali.

Niezależnie od tego zagadnienia o charakterze czysto lokalnym, problem palestyński w obecnej jego fazie stwarza kryzys w łonie samej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Większość państw, które głosowały uprzednio za podziałem Palestyny, godzi się obecnie pod wpływem Stanów Zjednoczonych na powiernictwo, wycofując się z pierwotnej decyzji. Nieliczne państwa stoją jednak twardo na dawnej pozycji, wychodząc ze słusznego założenia, że objęcie powiernictwa nad Palestyną, czyli po prostu przejęcia mandatu brytyjskiego przez ONZ nie może stanowić i nie stanowi żadnego trwałego rozwiązania palestyńskiego, Arabowie oświadczają już zgóry że powiernictwo przyjmą jedynie jako rozwiązanie czasowe. Wcześniej, czy później, musi się przecież wyłonić pytanie: co dalej? Jakie trwałe rozwiązanie przewiduje ONZ po wygaśnięciu terminu powiernictwa? I czy wówczas nie powtórzą się te same wypadki, które dziś uczyniły z Palestyny teren wojny domowej? Nieustępliwość Arabów, każe przecież przewidywać, że podobnie, jak dziś, tak i w przyszłości nie zgodzą się oni na żadne sprawiedliwe rozwiązanie zagadnienia palestyńskiego i będą stale i niezmiennie żądać przyznania sobie całej Palestyny. W tych warunkach Organizacja Narodów Zjednoczonych będzie musiała rozważyć trzy możliwe próby rozwiązania:

1) stworzenie nad Palestyną systemu powierniczego **na stałe;**
2) podział Palestyny według ostatnich zaleceń komisji ankietowej ONZ, który ma być obecnie poniechany;
3) utworzenie z Palestyny państwa dwunarodowego na wzór Belgii.

Żadne inne rozwiązanie nie będzie sprawiedliwe. Narzuca się jednak pytanie, w jaki sposób, wobec oporu Arabów, będzie można znaleźć sprawiedliwe rozwiązanie zagadnienia, które przy całym poszanowaniu praw Arabów gwarantowałoby swobodę żydowskiej imigracji do Palestyny? Dotychczasowe doświadczenia wydają się wskazywać, że każde sprawiedliwe rozwiązanie będzie musiało być narzucone siłą.

A tymczasem cała Palestyna ogarnięta jest pożarem wojny domowej. Mimo różnych sprzecznych wiadomości, wydaje się być pewne, że po pierwszych zmiennych kolejach walki górę wzięli Żydzi, którzy zdołali osiągnąć w obronie swego stanu posiadania znaczne sukcesy. Wojska brytyjskie pozostaną w Palestynie. Wojska te pozostaną zaś nawet po wygaśnięciu mandatu, ich końcowa ewakuacja przewidziana jest bowiem dopiero na koniec lipca. Do tego czasu Organizacja Narodów Zjednoczonych będzie musiała usunąć stan anarchii, panujący na terenach, kontrolowanych przez większość arabską. Władze mandatowe likwidują bowiem w coraz szybszym tempie swe urzędy. Na terenach, kontrolowanych przez Żydów, władza mandatowa zastąpiona zostaje natychmiast przez przygotowane kadry urzędników żydowskich, którym społeczeństwo podporządkowuje się z całą lojalnością. Arabowie natomiast, posiadający bardzo nieliczną warstwę inteligencji, nie mogą stworzyć na kontrolowanych przez siebie terenach żadnej trwałej władzy, co doprowadziło okręgi arabskie do stanu zupełnej anarchii.

Zagadkową rolę w konflikcie odgrywa król Transjordanii Abdullah, pozostający całkowicie na żołdzie brytyjskim. Nie ulega wątpliwości, że wobec niepowodzenia planu stworzenia Wielkiej Syrii, obejmującej Irak, Syrię, Liban i Palestynę, pod władztwem dynasti Haszemitów, do której należą domy królewskie w Iraku i w Transjordanii, Abdullah marzy o powiększeniu swego władztwa, Transjordania bowiem liczy zaledwie 400 tysięcy mieszkańców na terytorium dwukrotnie większym od Palestyny. Abdullach nie posiada jednak armii, gdyż Legion Arabski, złożony przeważnie z jego poddanych, dowodzony i utrzymywany przez Brytyjczyków, stanowi część składową brytyjskich sił zbrojnych na Środkowym Wschodzie. Wszystko przeto sprowadza się do tego, że marzenia Abdulli mogą się zrealizować tylko za zezwoleniem i poparciem rzadu brytyjskiego. Stanowisko Abdulli będzie w tych warunkach najlepszym sprawdzianem woli Wielkiej Brytanii rozwiązania problemu palestyńskiego

ROMAN NIZIŃSKI



Dokąd płyną dolary?

ANGLICY bardzo się martwią swoim deficytem dolarowym, który nie zmniejsza się, mimo wielkich wysiłków robotników angielskich, aby zwiększyć produkcję. Jak wiadomo partia labourzystowska nadal hołduje zasadzie prywatnej inicjatywy i ogranicza się do bardzo nieśmiałych prób nacjonalizacji. Z tego względu kapitaliści angielscy są w posiadaniu coraz większych funduszów, które z właściwym sobie patriotyzmem pragną wymienić na dolary. Tranzakcje takie są oczywiście zakazane i surowo karane. Kapitaliści angielscy wynaleźli na to szereg sposobów wysyłając pieniądze do takich części Imperium, które nie posiadają tak ścisłej kontroli jak Wielka Brytania. Takim ostatnim szańcem kapitału stała się Południowa Afryka. Kredyty i pożyczki udzielone przez to dominium angielskie zostały całkowicie zmarnowane wskutek ucieczki kapitału z Anglii do tego dominium. Bo gaci Anglicy znaleźli poza tym drugie miejsce, w którym mogą robić te same kombinacje. Są to wyspy Bahama, pierwsza część Ameryki odkryta przez Kolumba. Tamtędy według obliczeń angielskich przecieklo w ciągu roku ponad 6 milionów dolarów do Stanów Zjednoczonych.

(P)

Niesubordynacja

W CZASIE genewskiej konferencji w sprawie wolności prasy i informacji delegacja australijska poparła wniosek w sprawie zakazu szerzenia propagandy wojennej. Jak wiadomo wniosek ten był popierany przez Zw. Radziecki i kraje demokracji ludowej. Delegaci australijscy kierowali się zdrowym rozsądkiem i tym narazili się Amerykanom. Spotkała ich za to ostra krytyka, która dotarła aż na łamy prasy amerykańskiej, w szczególności New York Times pozwolił sobie na niesmaczną napaść na Australijczyków.

Najpikantniejszym szczegółem w całej tej historii jest okoliczność, że rząd australijski najspokojniej zainkasował „pouczenie". Prasa australijska domagała się wyjaśnień, ale rząd milczy. Widocznie na niesubordynację wobec USA można sobie tylko raz jeden pozwolić.

(P)

Gdzie jest lepiej?

JEDNA z rozlicznych ankiet przeprowadzonych przez Amerykanów w Europie Zachodniej miała wykazać, że w krajach marshallowskich nastąpiła poprawa gospodarcza usprawiedliwiając tym samym inwestowanie kapitału amerykańskiego. Zapytani mieli odpowiedzieć, czy ich zdaniem jest lepiej, gorzej, czy też bez zmian. Oto odpowiedzi:

	Lepiej	Gorzej	Bez zmiany
Francja	9%	59%	32%
Anglia	17%	46%	37%
Włochy	33%	30%	37%
Szwajcaria	26%	24%	50%

Należy żałować, że podobnej ankiety nie przeprowadzono u nas. Rezultat na pewno byłby rewelacyjny i wykazałby na pewno, że przytłaczająca większość Polaków ma się lepiej niż w latach 1945-46.

(P)

Szczyt reklamowy

FABRYKANT chicagoski produkujący tzw. pióra kulkowe, Reynolds, dowiedział się, że w Chinach istnieje pasmo gór zwane Amne Machin, które nie jest jeszcze zbadane przez ludzi, mających biały kolor skóry. Postanowił przeto zdobyć nieznane szczyty, aby Amerykańskie Towarzystwo Geograficzne mogło nazwać jedną z gór jego nazwiskiem. Byłby to rzeczywiście szczyt reklamy. Niestety niecywilizowani Chińczycy nie poznali się na tym i zmusili go do opuszczenia Chin w tempie przyśpieszonym przy pomocy samolotu. Dziennik pekiński napisał w związku z planem Reinolds: „Reinolds, dzierżąc w ręku atomowe pióro kulkowe ocenia góry jedynie jako wartość reklamową, gdy dla Chińczyków stanowią one miejsce wieczne go spoczynku dla drogich zmarłych i natchnienie dla żyjących poetów i malarzy".

Zasłużona lekcja! Mr. Reinolds.

(P)

Indie - Pakistan

TWIERDZENIE, jakoby podział olbrzymiego Imperium Indyjskiego na Indie i Pakistan wyszedł na dobre ludności hinduskiej i muzułmańskiej okazało się raz jeszcze wielkim blufem politycznym. Po tragicznych doświadczeniach masowych mordów grup mniejszościowych, po wojnie w Kaszmirze, Pakistan i Indie rozpoczęły otwartą wojnę celną.

W dniu 1 kwietnia rb. nastąpi formalny podział finansów obu dominiów. Wprowadzono oddzielne waluty i rozpoczęto wojnę celną. Indie odmówiły wymiany pieniędzy pakistańskich i nie chcą sprzedawać Pakistanowi węgla ani żadnych innych towarów.

Gdzie dwóch się kłóci tam trzeci korzysta. Pakistan kupuje węgiel w Anglii. (P).

Szanse Wallace'a

WEDŁUG ostatnich doniesień instytut Gallupa przeprowadził ankietę z której wynikało, że Wallace cieszy się poparciem 10 procent Amerykanów. Mocodawcy Gallup'a byli nie zadowoleni z tego wyniku, uważali bowiem, że cyfra ta jest przesadzona. Po upływie dwóch tygodni przeprowadzono ponowną ankietę. Wynik: 10,5 procent za Wallacem.

Największym jednak sukcesem, jaki odniósł Wallace jest dopuszczenie do wyborów w stanie Kalifornia. Według obowiązujących w tym stanie przepisów należało uzyskać 276.000 podpisów dla zgłoszenia kandydatury Wallace'a. W przepisanym terminie uzyskano 486.000 podpisów, z tego 275.000 w samym okręgu Los Angelos, gdzie 25 procent uprawnionych do głosowania wypowiedziało się już obecnie za Wallacem. (P)

W kraju „Wolności"

DO liczby wielu incydentów dowodzących, że w Stanach Zjednoczonych wolność istnieje tylko na papierze doszedł kolejny skandal. Niedawno wybrany do Kongresu przedstawiciel Amerykańskiej Partii Pracy stanu Nowojorskiego Isaacson, popierający kandydaturę Wallace'a zwrócił się do Departamentu Stanu o wydanie mu paszportu zagranicznego na wyjazd do Francji. Odmówiono mu. Powód: Isaacson zamierzał uczestniczyć w charakterze obserwatora w kongresie towarzystw Przyjaciół Demokratycznej Grecji, jaki zebrał się w Paryżu.

Podobno posąg wolności w porcie nowojorskim odwrócił się obecnie w stronę lądu w poszukiwaniu zaginionej wolności. (P)

Nowinki z Japonii

GENERAŁ Mac Arthur, którego kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych popierają arcyreakcjoniści Hearst i Mc Cormick — prowadzi ożywioną kampanię przedwyborczą w Japonii! Jak podaje tygodnik „Newsweek", odnoszący się przychylnie do osoby Mc Arthura nie jaki Tosio Oda zorganizował wielką akcję zbierania podpisów pod petycję, w której Japończycy polecają swojego „białego mikado" na prezydenta USA.

Rekomendacja ta nie wiele pomogła, gdyż nawet w swej najściślejszej ojczyźnie, w stanie Wisconsin, McArthur został pobity przez innego pretendenta do nominacji partyjnej na kandydata do prezydentury. (P)

Bohaterowie roku czterdziestego ósmego

W ogłoszonym już po śmierci Wiktora Hugo pamiętniku jego znajdują się sylwetki bohaterów 1848 i 1849 roku, kreślone żywo i wyraziście. Pamiętnik ten, a raczej dziennik, nie był przeznaczony do druku: nacechowany jest tedy szczerością zupełną. Może dziś, — w sulecie Wiosny Ludów — nie od rzeczy będzie zacytowanie kilku fragmentów, plastycznie ukazujących znane osobistości historyczne.

Odilona Barrot tak charakteryzuje Hugo:

.. wchodzi na mównicę stopień po stopniu, starając się o powagę, zanim okaże wymowę.

Następnie kładzie prawą rękę na stole mównicy, lewą odrzuca w tył na plecy i tym sposobem okazuje się zgromadzeniu bokiem, w postawie atlety.

Ubrany zawsze czarno, starannie i równo zapięty.

Mowa jego zrazu wolna, ożywia się stopniowo, podobnie jak i jego myśli. Ale ożywiając się, głos mu chrypnie, a myśl zaciemnia się. Stąd pewne wahania się w audytorium: jedni źle słyszą, drudzy nie rozumieją. Naraz z chmury wybiega błyskawica i wszyscy są olśnieni.

Różnica między tego rodzaju mówcami a wielkim Mirabeau jest ta, że oni mają błyskawice, ale on tylko jeden miał pioruny.

Równie ironicznie przedstawia Hugo w swym dzienniku **Thiersa:**

Pan Thiers chce traktować ludzi, idee i wypadki rewolucyjne według rutyny parlamentarnej. Kręci swoją starą konstytucyjną pozytywkę, op'ewając przepaści i wybuchy czynników chimerycznych i nie przewidzianych. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że wszystko się przeobraziło... Zabawny widok małego człowieczka, usiłującego swoją drobną ręką pogłaskać paszczę ryczącego lwa rewolucji!

Gdy panu Thiersowi ktoś przerwie jego mowę, irytuje się, zakłada ręce, rozkłada je gwałtownie, następnie prowadzi je do ust, do nosa, poprawia okulary wreszcie wzrusza ramionami i kończy, chwytając się konwulsyjnie obydwiema rękami za tył głowy.

Czułem zawsze dla tego sławnego męża stanu, dla tego znakomitego mówcy, dla tego miernego pisarza, dla tego małego i ciasnego serca, coś w rodzaju podziwu, odrazy i lekceważenia zarazem.

A teraz **Proudhom.** Hugo pisze o nim:

Ma rzadkie blond włosy, których nigdy porządnie nie czesze i z których jeden kosmyk sterczy mu zawsze nad czołem wysokiem i rozumnem. Nosi okulary. Wzrok jego jest zarazem mętny, przenikliwy i stały. Ma coś z doga w swoim spłaszczonym nosie i coś małpiego w swoim, okrążającym twarz, zaroście. Usta jego, o grubej wardze dolnej, wyrażają zazwyczaj dobry humor. Ma akcent z nad granicy szwajcarskiej, połyka zgłoski środkowe, a przedłuża końcowe.. Mówi źle, ale pisze dobrze. Na mównicy cała jego gestykulacja sprowadza się do krótkich, gorączkowych uderzeń płaską dłonią o manuskrypt. Niekiedy gniewa się i pieni, lecz na zimno. Główną cechą jego zachowania i jego fizjognomii jest pomieszanie zakłopotania z pewnością siebie.

Piszę to w chwili, gdy przemawia z trybuny.

Blanqui doczekał się takiej notatki.

Podczas ośmiu miesięcy więzienia, które odsiadywał w Vicennes za sprawę 15-go maja, Blanqui jadł tylko chleb i surowe ziemniaki, odmawiając innego pożywienia. Tylko matka wymogła na nim od czasu do czasu, że wypił trochę bulionu.

Doszedł do tego, że nie kładł już koszuli. Nosił to samo odzienie od lat dwunastu, swoje odzienie więzienne, łachmany, którymi się popisywał z ponurą próżnością w swoim klubie. Zmieniał tylko buty i rękawiczki, zawsze czarne.

Pomimo to wszystko myl się często, łącząc czystość z cynizmem: miał małe ręce i małe nogi. Był w tym człowieku arystokrata, podeptany przez demagoga.

Głęboko zręczny, bez żadnej obłudy: zawsze jednaki w życiu poufnym i publicznym. Szorstki, twardy, poważny, nie śmiejący się nigdy, płacący za szacunek ironią, za uwielbienie sarkazmem, za miłość lekceważeniem i wzbudzający mimo to, a może dlatego, fanatyczne poświęcenia.

Nie było w Blanqui nic z ludu, ale wszystko z pospólstwa. Zresztą, uczony, prawie erudyta. W pewnych chwilach nie był to już człowiek, był to rodzaj ponurego widziadła, w którym znajdowały wcielenie wszystkie nienawiści, zrodzone ze wszystkich rodzajów nędzy.

Dziwna postać fanatyka na zimno, nie pozbawionego dzikiej wielkości.

Po wypadkach lutowych Blanqui wychodzi z więzienia, odrazu kwaśny i rozwolowiony; odrazu ten dziki kochanek bezwzględności wypowiada wojnę Republice, nazywanej przezeń wsteczną i bękarcią. Chce wypędzić Lamartine'a, chce przewrócić Ledru-Rollin'a.

A sylwetkę znakomitego poety **Lamartine'a** rysuje Hugo takim obrazkiem:

Podczas posiedzenia Lamartine usiadł koło mnie, na miejscu, zajmowanym zwykle przez pana **Arbey.**

Przemawiał Thiers.

— Dudek! — mruknął Lamartine.

Potem przyszedł Cavaignac.

— Co pan myśli o nim? — pyta Lamartine. — Co do mnie, to ja myślę tak: jest on szczęśliwy, jest dzielny, jest szczery, jest gaduła, ale przede wszyst kim jest głupi.

Po chwili wszedł na trybunę Jules Favre.

— Nie rozumiem — mówi Lamartine — skąd oni widzą węża w tym człowieku. Jest to akademik z prowincji.

Śmiejąc się wziął arkusz papieru z mojej szuflady, zażądał pióra, poprosił o szczyptę tabaki Savatiera - Laruche, i napisał kilka wierszy. Co uczyniwszy, wszedł na mównicę i rzucił Thiersowi, napadającemu na rewolucję lutową, poważne wyniosłe słowa. Poczem wrócił na naszą ławkę uścisnął mi rękę w chwili, gdy lewica biła brawo, a prawica oburzała się i wysypał spokojnie tabakę z tabakierki Sabatiera do swojej.

Don Kichot

MIĘDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE



Prezydent m. Poznania mgr. Sroka

Drugie powojenne, a XXI Międzynarodowe Targi Poznańskie według zgodnej opinii przedstawicieli zagranicznych są dowodem ogromnych osiągnięć gospodarczych Polski Ludowej.

Po lewej stronie od wejścia, w wielkiej hali znajdują się eksponaty przemysłu metalowego i hutniczego. Przed pawilonem wszelkiego rodzaju maszyny rolnicze, wewnątrz różnego typu obrabiarki, narzędzia, sprzęt motoryzacyjny, meble metalowe. Przemysł hutniczy demonstruje stal i żelazo surowe, młoty pneumatyczne, zestawy kołowe. Na pierwszym piętrze w hali znajdują się wyroby przemysłu mineralnego, pokazując wszelkie gatunki produkcji hut szklanych.

Na specjalnej bocznicy stoi lokomotywa, wagon osobowy, wagon—chłodnia — wyprodukowany przez Cegielskiego w Poznaniu i Państw. Fabr. Wagonów w Wrocławiu.

Specjalne miejsce zajmuje podstawa naszego bogactwa — przemysł węglowy. Na zewnątrz pawilonu zagranicznego widzimy naturalnej wielkości przekrój szybu i wagoniki napełnione węglem. Wykresy produkcji i próbki węgla i koksu znajdują się w hali przemysłu ciężkiego.

W długim dwupiętrowym budynku wystawione są eksponaty przemysłu włókienniczego. Gotowe ubrania, galanteria damska i męska, wełny ubraniowe, kretony, sztuczne jedwabie, dywany, maszyny przędzalnicze ilustrują imponujący dorobek tej gałęzi przemysłu narodowego.

Wśród pawilonów zagranicznych, wybija się na czoło pawilon Związku Radzieckiego. W wieży górnośląskiej widzimy imponujący dorobek techniki radzieckiej. Najróżnorodniejsze obrabiarki, maszyny drukarskie, aparatura tlenowa, elektrotechnika, radiotechnika, sprzęt filmowy, fotograficzny. Przed pawilonem nowoczesne autobusy, trolleybusy, traktory, samochody i mały samolot sportowy. W drugim pawilonie futra, eksponaty przemysłu włókienniczego.

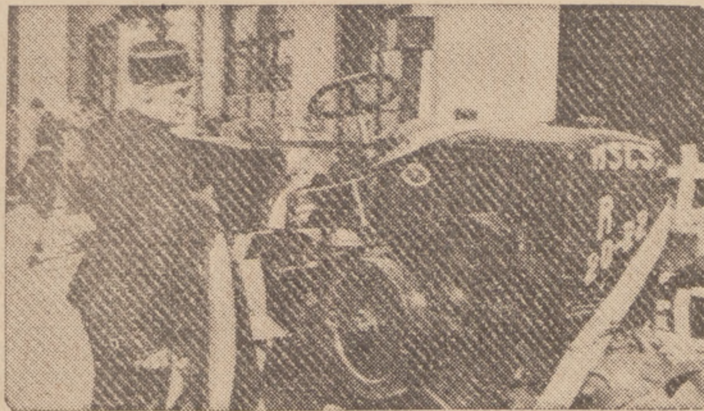
Stoiska innych państw zagranicznych znajdują się w długim pawilonie położonym w prawym skrzydle placu. Czechosłowacja demonstruje różnorodne obrabiarki, precyzyjne maszyny domowe, galanterię skórzaną i papierniczą, radioodbiorniki i sprzęt fotograficzny. W pawilonie bułgarskim widzimy wysokie gatunki tytoniu, wina i galanterię skórzaną. Jugosławia pokazuje rudy, surowce chemiczne, tytonie, wina, galanterię skórzaną, piękne tkaniny i wyroby ludowe. Holandia reklamuje wczesne jarzyny; wyróżnia się tu również duże stoisko Philipsa z nowoczesnymi aparatami radiowymi.

Spółdzielczość oprócz kilku kiosków sprzedaży i stoisk w ogólnych pawilonach, posiada 3 samodzielne pawilony. Pierwszy, to pawilon ZGS „Społem", obrazujący osiągnięcia produkcji, za nim, powiększony w stosunku do roku ubiegłego, pawilon Związku Spółdzielni Wytwórczych i Pracy i wreszcie nowowybudowany z inicjatywy Związku Rewizyjnego Spółdzielni pawilon, w którym wystawiły swe eksponaty — Centrala Gospodarcza „Solidarność", Rolnicza Centrala Mięsna oraz Warszawska Spółdzielnia Księgarsko - Wydawnicza „Światowid". Osiągnięcia swe przedstawiło wykresami i zdjęciami Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane. Związek Rewizyjny Spółdzielni w graficznych wykresach zapoznał ze swoją działalnością i zorganizował wystawę wydawnictw spółdzielczych, których sprzedaż odbywa się w pawilonie „Społem".

Wiele wysiłku w dobrą organizację Targów Poznańskich włożyło Biuro Wystawy z Komisarzem Rządu i Zarząd Miasta Poznania z prezydentem Sroką na czele.



Szef prasy i propagandy M.T.P. — Wojdyłło



Górnik polski zwiedza pawilon Czechosłowacji.

PAWILON „SPOŁEM" NA MIĘDZYNARODOWYCH TARGACH POZNAŃSKICH



Grupa gości opuszcza pawilon „Społem": minister przemysłu i handlu — Hilary Minc, dyr. M.T.P. Rosochowicz, Prez. m. Poznania mgr. Sroka, Prezes „Społem" — Jan Żerkowski, wiceprezes „Społem" Józef Niemiec, Delegat — Ryszard Andruszkiewicz, Z-ca Delegata „Społem" — Grzelarczyk Józef, Dyr. Handl. Międzyn. Targów Poznańskich — Stefański, Wojewoda Poznański — Brzeziński



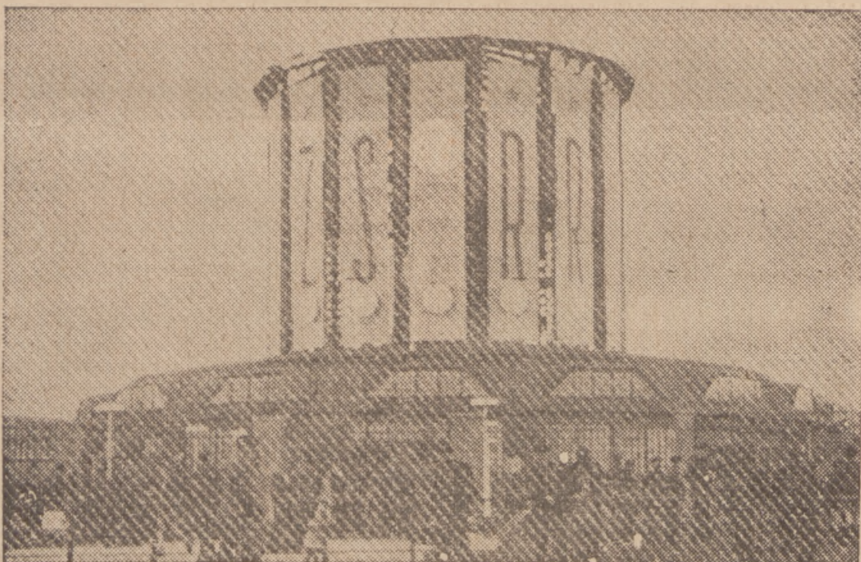
Rys. I. Żebrowski

dyr. M.T.P. mgr. A. Rosochowicz

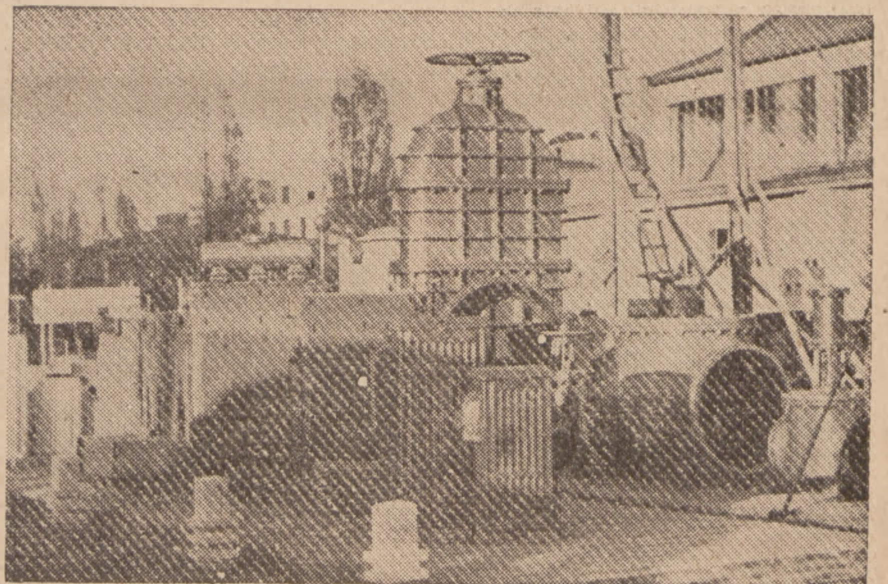


Rys. I. Żebrowski

dyr. M.T.P. Stefański



Pawilon ZSRR na Targach Poznańskich wzbudził ogromne zainteresowanie



Fragment z Targów Poznańskich

ŻYCIE TYKOCINA

SŁABIUTKIM BIJE PULSEM

Radość pobytu w Tykocinie trzeba okupić męką 5-cio godzinnej podróży autobusem PKS, przed którego zatłoczeniem powiedzonko o beczce ze śledziami wydaje się niewinną igraszką. Dojeżdża się do Jeżewa, skąd pozostałe 8 km rzemiennym dyszlem są wypoczynkiem ciała i ducha.

Od wzgórz, zwanych „Wiatrakami", okalających od południowej strony Tykocin droga opada w nadnarwiańską równinę. Ten długi, kryty czerwonym dachem prostokąt, to klasztor pobernardyński. Masyw kremowy i czerwony — to wspaniały kościół fundacji Branickich. Rzadko rozsiane domki — to pozostałość z ludnego dawniej miasteczka. Dziś z zagęszczonej niegdyś żydowskiej części miasteczka nie pozostało prawie śladu. Błoto, pustka, trochę gruzu i zabytkowa, mimo to rozszabrowywana bóżnica. Ach, jeszcze coś: za wiejskim „przedmieściem" Tykocina, zwanym Kaczorowem, jest jeszcze cmentarz żydowski, popularnie zwany „Mogiłkami". Tu Niemcy rozstrzeliwali swe ofiary. Nie tylko zresztą tutaj. Dziś rozgrodzony cmentarz służy za gromadzkie pastwisko. Zryty jest cały, nagrobki powywracane czy powywlekane, podobno niektórzy użyli ich na podmurówkę...

Gdyby nie żywe jeszcze tragiczne wspomnienia, z pobytu Żydów w Tykocinie i jemu podobnych miasteczkach nie pozostałoby w parę lat po wojnie nic więcej, jak te żałosne wspomnienia. I nie będę chyba daleki od prawdy, mówiąc, że Żydzi na tej tu ziemi przeminęli, jak przed wiekami przeminęli Jadźwingowie.

Kiedy zwiedzałem miejscowy cmentarz, pokazywano mi maleńkie katakumby. Tu, w tych ponurych celach wystarczających zaledwie na wstawienie trumny, również kryli się Żydzi, jak kryli się po strychach, piwnicach, lasach — wszędzie, daremnie pragnąc uchronić swoje życie. Dziś grobowiec ten, jak brzemienny śmiercią ul, ma porozbijane cele. Barbarzyńska ręka pozrzucała wieka z trumien, w metalowych zaś powycinała otwory, szukając zdobyczy.

Tykocin ma tyle malowniczych zakątków i tak piękne położenie, że pod wieloma względami mógłby rywalizować z Kazimierzem n. Wisłą. Szeroko rozlane wody Narwi obfitują w ryby i ptactwo. Otoczone ze wszech stron rozlewiskiem wodnym giną zwolna rozkradane resztki zamczyska Radziwiłłów, gdzie znany nam z „Potopu" książe Janusz dożywał swych ponurych dni. Zostały tu tylko kupy gruzu i wielkie bryły piaskowca, zbyt wielkie, by i te wykraść. Nikogo to nie interesuje, podobnie jak nie reagował nikt, gdy miejscowa Straż Pożarna z dachu zabytkowego alumnatu zdejmowała dachówkę, by naprawić dach na swoim budynku. Któż by się przejmował takimi drobiazgami, jak czerwona tablica z zastrzeżeniem, że budynek jest zabytkiem kultury narodowej i podlega ochronie.?

Do ciekawostek Tykocina należy ogrodzenie przed frontem kościoła. Raczej głowice czworobocznych słupów, zakończone granitowymi kulami wielkości głowy ludzkiej. To pociski z dawnych dział, jakimi w czasach Janusza Radziwiłła strzelano do oblegających zamek wrogów. Jeden z notabli miasteczka wskazywał mi miejsce w Narwi, gdzie tych pocisków kamiennych leży, zamulane coraz bardziej, kilka fur, podobnie jak w mule rzecznym spoczywa stącene tam niegdyś działo.

Ale prawdziwą ozdobą miasteczka, poza monumentalnym kościołem, któremu równy niełatwo by znaleźć w tych stronach Rzeczypospolitej, jest pomnik Czarneckiego z buławą w ręku. Buława, jak twierdzą autochtoni, była z lanego złota, dlatego też skradziono ją wraz z odłupaną po łokieć prawicą. Restaurując piękny posąg, uzupełniono „ten szczegół" ręką z bronzu, przezornie dając buławę mosiężną, ślad jednak pozostał, podobnie jak tkwią na wieczną pamiątkę głupoty, inicjały dwu urystów z Częstochowy i Łodzi.

Plac przed kościołem częściowo otoczony stylowymi, krytymi pociemniałą dachówką, domkami, jest prawdziwym cackiem. Gdyby tylko poprawić



Fragment starego krucyfiksu w klasztorze pobernardyńskim



Katakumby na cmentarzu w których w czasie okupacji przechowywali się Żydzi

ogrodzenie, zająć się trawnikami i zasiać trochę kwiatów... Na placu tym, jak w teatrze, dzieje się życie miasteczka. Tędy idzie się do kościoła i tędy powraca (a wówczas w oknach domków widnieją twarze o rozpłaszczonych nosach i wymieniane są zdania na temat: kto i jak ubrany, kto z kim idzie itd.), tędy się przejeżdża w dni targowe. I tutaj tak jeszcze niedawno władze bezpieczeństwa toczyły zawziętą walkę z „ludźmi z lasu", tutaj też znajdowano ofiary sądów kapturowych. Wiele krwi wsiąkło w grunt Tykocina...

Życie społeczne Tykocina słabiutkim bije pulsem. Może też lepiej nie pisać, jakie tu istnieją związki czy organizacje. Nie ma elektryczności, więc i niema radia. Kilka rodiodbiorników na akumulatory nie jest w stanie zaspokoić głodu informacji miejscowych obywateli. Zastępują je nieliczne a wybitnie uzdolnione jednostki, krążąc od domu do domu z najnowszymi lokalnymi wiadomościami.

Czasami Tykocin ożywa, a dzieje się to wówczas, gdy urządzona jest zabawa lub przedstawienie amatorskie. To ostatnie jest jedną z nielicznych rozrywek kulturalnych, zabawy natomiast zazwyczaj się kończą krwawymi bijatykami i... zastrzykami przeciw tężcowymi. Utarło się bowiem, że szanująca się młodzież męska na zabawy pośpiesza z niezgorszym kozikiem, lub — co przezorniejsi — z bagnetem! Okolicznością łagodzącą jest to, że do bijatyk tych dochodzi zazwyczaj w nietrzeźwym stanie, co — jak wiadomo — zmniejsza poczytalność w odwrotnie proporcjonalnym do zadzierzystości stopniu.

Tyle byłoby o życiu małego, sennego, zapomnianego miasteczka. Sennego, bo już o godzinie 20 czy 21 cisza



Idylliczny krajobraz w okolicy Tykocina

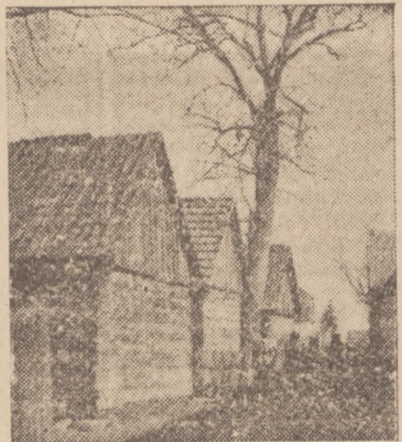
dzwoni w brukowanych kocimi łbami ulicach, mrok nocy tu i tam rozprasza wąski promyk światła, sączącego się spoza szczelnie zasłoniętych okien i wyją do księżyca niezmordowane psy.

Turysto: mimo to wszystko warto jechać do Tykocina. Jest w nim pięknie, przestronnie i cicho. Można tam wypocząć na duszy i na ciele. Oczywiście pod warunkiem, że znajdziesz tam dach nad głową i kogoś, kto pomyśli, że nie tylko ciszą i krajobrazem się żyje.

Jerzy Glaus



Wiejskie wesele na ulicy Tykocina



„Pozastodole"
obok kościoła w Tykocinie

FRESKI W POBERNARDYŃSKIM

KOŚCIELE SW. ANNY

W 1753 roku wnętrze kaplicy Bł. Ładysława z Gielniowa, patrona Warszawy pokrył freskami ku chwale Bożej, a uciesze bogobojnych obywateli Starej Warszawy, pokorny i pracowity brat zakonu OO. Bernardynów, Walenty Żebrowski.

Ściany kaplicy ozdabiały trzy malowidła.

Pierwsze miało przedstawiać księżnę Mazowiecką, Annę Radziwiłłównę z dwoma synami Januszem i Stanisławem. poświęcającą Bł. Ładysławowi z Gielniowa sprawy księstwa i miasta, drugie natomiast — objawienie się Ładysława tercjarzowi zakonu OO. Bernardynów.

Objawienie to było bodźcem do odbudowy spalonego kościoła w 1663 roku przez tegoż tercjarza, brata Babskiego.

I wreszcie trzecie malowidło, znajdujące się naprzeciw ołtarza przedstawiało otwarcie grobu Ładysława z Gielniowa, w obecności króla Stefana Batorego, Anny Jagiellonki, oraz duchowieństwa, panów i szlachty.

A na sklepieniu kopuły Żebrowski wyczarował rozmodlonego cudotwórcę w otoczeniu świętych polskich, których ofiarowuje wstępującej na łono Trójcy Św. — Matce Boskiej.

Tak piękne były te freski, że późniejszy malarz nadworny Stanisława Augusta, Bacciarelli. nie powstydził by się tej roboty.

Z biegiem jednak lat freski uległy zniszczeniu. Warstwy kurzu i dymy z palących się tu codzień — niemal przez cały wiek — pochodni, pokryły sadzami wyblakłe od słońca malowidła. I już w 1845 r. wymagały one nieodzownego odnowienia. Sprowadzony w tym celu artysta malarz, Zalewski. prace swoje rozpoczął od zmywania sadzy i kopcia. Odnowienie jego jednak nie było trwałe, gdyż do malowania użył złych barwników, tak że w niedługim czasie przeróbka zczerniała.

Po śmierci ostatniego bernardyna, Dyonizego Czaczkowskiego w 1888 r. klasztor OO. Bernardynów przeszedł w ręce świeckiego duchowieństwa. W 1904 r. miejscowy proboszcz zajął się gorliwie poczerniałymi i przybrudzonymi malowidłami. Odnowienie po-[illegible] br. Strzałeckich.



Uliczka w Tykocinie

Pełne wdzięku i życia postacie świętych polskich zmieniły się w pyzate figury marnych zjadaczy chleba. Przecudne w rysunku ręce urosły do niemożliwych rozmiarów, przypominając łapy w grubych rękawiczkach. A delikatne w kolorycie Wniebowstąpienie zamienione zostało na ponurą w barwach koronację Matki Boskiej.

Na pierwotnych freskach w tej przeróbce domalowane zostały olbrzymie portrety autorów drugiej z kolei przeróbki, obok których anioł z wyciągniętą nogą z pod szat, podobną raczej do kopyta, trzymał białą wstęgę.

Patrzyli też na to bogobojni warszawianie i zrażeni brzydotą sklepienia i ścian rzadziej odwiedzali kaplicę Błogosławionego.

W ostatnich czasach Warszawę nawiedziły klęski straszniejsze niż najazd szwedzki i okrutniejsze, niż napad groźnego watażki Rakoczego. Lecz widać zapomniany patron czuwał nad świątynią, w której się znajduje kaplica pod jego wezwaniem. Mimo zgliszcz i gruzów, jakie pozostawił po sobie rok 1939 i powstanie warszawskie, na najwyższym wzgórzu lewobrzeżnej Warszawy wznosi się nadal Pobernardyński, Akademicki, kościół Św. Anny.

W sierpniu 1947 r. w kaplicy rozpoczęto konserwację fresków. W czasie badań wstępnych doszukano się pod przeróbkami Zalewskiego i br. Strzałeckich pierwotnych fresków Żebrowskiego o pierwszorzędnej wartości artystycznej.

Podczas pierwszego i drugiego odnowienia malarze wykazywali zupełną swobodę. I tak np. na malowidle, przedstawiającym otwarcie grobu Bł. Ładysława, Stefana Batorego i Annę Jagiellonkę, przemalowano na Jana Sobieskiego i królowę Marysieńkę. Obecnie prace rozpoczęto od sklepienia kopuły.

Odnowienia Strzałeckich zmyto bez trudu. Wykonane one były zwykłą pokojową farbą (klejówką). Natomiast Zalewski malował temperą, używaną do fresków, która trwałą warstwą pokryła pierwotne malowidła.

Obecnie freski na kopule, choć uszkodzone przy zmywaniu przeróbek, są już odczyszczone. Ślady dwóch przemalowań spłynęły z obfitymi strugami wody. Pozostały tylko niedające się zlikwidować, bo wydrapane w tynku, nazwiska wykonawców drugiej przeróbki, br. Strzałeckich i Antoniego Tęczyńskiego.

Odsłaniane postacie świętych polskich nie są jeszcze odczytane. Jest to zakres działania hagiografa, który na podstawie polskiej literatury kościelnej określi tożsamość osób polskich błogosławionych i świętych.

Ukończenie konserwacji kopuły przewidywane jest w tym roku. Pozostanie [illegible] tylko odsłonięcie malowideł na ścianach.

Alicja Adamczyk.

Film TYGODNIA

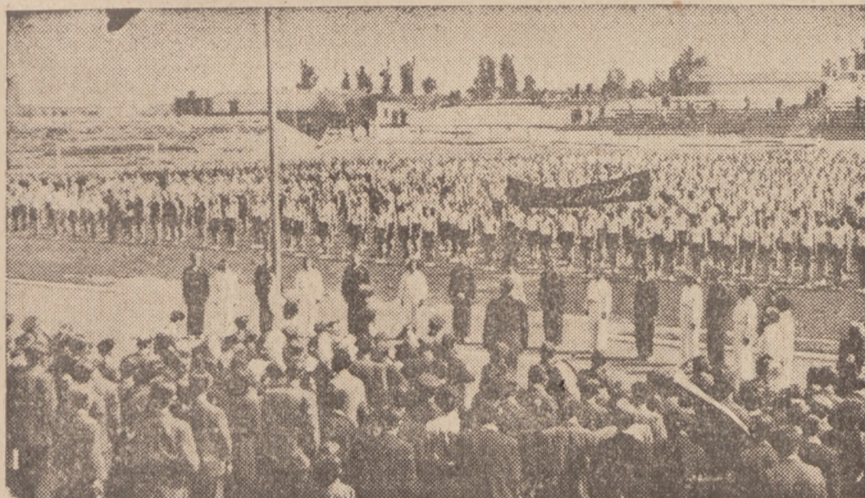
Święto 1 Maja 1948 r. w Stolicy



Loża rządowa w dniu Święta Pracy na Placu Zwycięstwa w Warszawie



Defilada kolarzy, biorących czynny udział w wyścigu Warszawa — Praga na Placu Zwycięstwa w Warszawie w dniu 1 Maja br.



Defilada Z.S. Gwardia w stolicy w dniu 1 Maja br.



Fragment pochodu 1-majowego w Warszawie

WARSZAWSKIE ŚWIĘTO

„W Warszawie w nocy z 3 na 4.V 44 r. oddziały nasze wykonały akcję na Lotnisko Bielany, niszcząc 5 samolotów transportowych (3-motorowe Junkersy) i uszkadzając 3 dalsze. Pożar trwał kilka godzin".

— tyle w zwięzłych słowach podawał Komunikat Nr 8 Dtwa A.K. z dnia 17.V.44 r.

— Dodaatek nadzwyczaaa... Dodaaatek... Wojska niemieckie wkroczyły do Szwecji! Dodaatek... — darli się „fachowo" jakoś niezbyt po gazeciarsku ubrani sprzedawcy nadzwyczajnego dodatku, pachnącego jeszcze farbą i błyszczącego z daleka czerwonym nagłówkiem: „Nowy Kurier Warszawski".

— Co? Szwecja?

W oczy biją wielkie tytuły. Sensacja! Specjalny komunikat z kwatery głównej Fuehrera! A dalej?

Dalej pod „lipnymi" tytułami szła odezwa Pełnomocnika Rządu na Kraj, Artykuły — jeden, drugi, trzeci... Armia Polska na obczyźnie... Najświeższe komunikaty radiowe... Biało czerwone kwadraty na skrzydłach samolotów. Polska bandera na morzach świata. Polskie Wojsko w walce...

Dosłownie w przeciągu kilku minut pliki dodatków zostały rozchwytane. Po południu płacono już za egzemplarz 500 zł. „Dodatek" przechodził z rąk do rąk...

Nosił on datę 3-go maja 1944 r.

Niecodzienni sprzedawcy wtapiali się jeden po drugim w szare, codzienne tło warszawskiej ulicy.

×

W taki sposób uczciła Polska Podziemna święto 3-go maja — ostatnie w czasie okupacji. I robiła to co roku — pięć razy.

Data „3 maj" we wszystkich kalendarzach urzędowych oznaczona była kolorem czarnym. Zniesione nawet zostało święto kościelne Królowej Korony Polskiej przypadającej na ten sam dzień. Wydano zarządzenie o przymusowym, powszednim dniu pracy, i miało być „fertig!". Ale nie było!

Tłumnie zapełniały się kościoły. Warszawa obchodziła swoje święto w nadziei — w oczekiwaniu lepszego „Jutra". W tym innym kalendarzu cyfra „3", tak samo jak cyfra „1" zostały podkreślone grubą czerwoną kreską.

A Niemcy się bali. Począwszy od ostatnich dni kwietnia, aż do 5-go, 6-go maja zarządzono rok rocznie w niemieckim garnizonie i w Gestapo ostre pogotowie. Na miasto wyruszały silne, specjalnie na te dnie wzmacniane patrole. U wylotów Alei Szucha ustawiano karabiny maszynowe. Z boku wyglądały lufy czołgów.

Przez miasto przechodziła fala aresztowań i łapanek. To był już system.

×

Systematycznie też, co roku Warszawa świętowała.

1940 rok udekorował groby niedawnych obrońców stolicy wiązankami kwiatów. Mury pokryły się napisami i nalepkami.

„Im słoneczko wyżej — tym sikorka bliżej" — udany slogan przelatywał przez miasto. Niemcy nie rozumieli o co chodzi.

Na grobie Nieznanego Żołnierza bił bielą i czerwienią wielki wieniec. Na warcie przy kolumnadzie dudniły pod kute buty żołnierzy...

×

Nalepki z biało - czerwonymi chorągiewkami udekorowały całe miasto. Legły wieńce u stóp Kilińskiego, Dowborczyka, Lotnika. W ręku trzymał kwiaty wysoki bronzowy Saper.

Na grobie Nieznanego Żołnierza zakwitły znów kwiaty.

Był to rok 1941.

×

Dochodzi godzina 18-ta. 3-go maja 1943 r. Na placu Wilsona na Żoliborzu panuje ożywiony ruch — jak zresztą zwykle.

Dzwoni ruszający z przystanku tramwaj. W oknach jednego z domów wygrzewają się na słońcu „wehrmachtowcy".

Nagle w rozgwar gorącego popołudnia wpadają skoczne takty „Marszu Lotników". To odżyła milcząca od kilku dni „szczekaczka". Zaintrygowani polską wojskową melodią przechodnie skręcają w stronę słupa, do które go przymocowany jest megafon. Dwóch młodych ludzi z rękami niedbale wsuniętymi w kieszenie spodni skupiają się koło stojącej tuż obok telefonicznej szafki.

Parę trzasków, jakiś szum i nagle zaczynają padać słowa:

„Baczność Polacy! Baczność! Czwarty już raz w okresie wojny obchodzimy święto państwa i narodu polskiego. Czwarty raz w pokonanej, lecz nieuległej Warszawie serca polskie jednoczą się w pełnym ufności i wiary hołdzie przed symbolami naszej historii, naszego odradzania się z dni upadku i klęski. Polacy! każdy miniony rok był dla nas rokiem walki, ofiary i trudu. Równocześnie był jednak stopniem wiodącym ku zwycięstwu..."

Narasta tłum. W kompletnej ciszy słychać wyraźnie mocne, proste, żołnierskie słowa. Pojawiają się w oczach łzy...

Motorniczy stojącej właśnie na przystanku „17-stki" ciekawie nadstawił ucha. Po sekundzie stał razem z konduktorami i publicznością tramwaju pod megafonem.

„Polacy! W dniu święta narodowego niechaj zagrzmi okrzyk: W górę serca! Polska żyje! Polska jedna, wielka, potężna, zwycięska!"

Brzmi melodia „Jeszcze Polska". Od krywają się głowy. Tłum zawiera w postawie na „baczność". Na zakończenie „Rota"...

Piętnasto minutowa audycja została nadana... przez telefon.

I Warszawa postawiła na swoim. Świętowała co roku!

J. Z.

Wobec tego, że na Konkurs „Nasz Skarb Największy Dziecko" napłynęło bardzo wiele zgłoszeń, zwłaszcza w ostatnich dniach, które musimy posegregować i zarejestrować — więc nie możemy jeszcze określić terminu do którego będziemy zamieszczali zdjęcia.

Poczynając od numeru następnego zamieścimy wykaz dzieci, których zdjęcia zostały zakwalifikowane do zamieszczenia w „Tygodniu". Po zarejestrowaniu wszystkich zgłoszeń podamy termin zakończenia konkursu i początek plebiscytu. W każdym bądź razie należy pilnie zbierać kupony plebiscytowe, które będą potrzebne przy głosowaniu.

Dziś podajemy kupon Nr 2.

KUPON PLEBISCYTOWY Nr 2 w KONKURSIE

»NAJMILSZE DZIECKO TYGODNIA«

Najmilszym dzieckiem w konkursie jest moim zdaniem:

Nr ______________________________

____

(tu wpisać konkursowy numer fotografii i podpis pod nią drukowany)

którego zdjęcie było reprodukowane

w Nr .... „TYGODNIA"

Wyciąć i zachować! Kupony z pewnych numerów „Tygodnia" będą w plebiscycie uprzywilejowane, wobec czego korzystne dla głosujących będzie zebranie pełnego ich kompletu.

Stanisław Maria Saliński

BENIAMIN

OPOWIEŚĆ Z PODEJRZANYCH MÓRZ

V

ciąg dalszy

Przerwałem mu w środku któregoś zdania, aby zapytać, że jeżeli „Trahison", to kiedy odjazd? Wyskrzeczał, że może jutro, może pojutrze, to zależy... — Bo widzisz — znów złapałem inicjatywę w dialogu — są pewne okoliczności, że chciałbym... No, że słowem, wolałbym być czemprędzej na pokładzie... Klimat tu i w ogóle...

Zrobił szatańskiego zeza, jeszcze bardziej wysztucznił prawdziwego i zachichotał — Klimat? He? Czy ten klimat nie popija sobie, czik-czik, teraz w „Paradisie"? Co? — Zrobiłem nieokreślony ruch ręką na mniej — więcej „tak". Bardzo kordialnie poklepał mnie po ramieniu, trochę wspinając się na czubki palców. Och, kichać na to, mój przyjacielu — pocieszył z całą powagą — Jesteś pod moją opieką. Na mój honor, czik-czik. Cierpliwości i spokoju, a popłyniemy razem kursikiem na Hong-Kong.

— Aż?

— Aż. A tymczasem — kichać. Masz tymczasem leże w misji? Leżeć więc tam, spokojnie!

Skrzeczał dalej, balansując kończynami, przedzierając się crawlem przez mglistą zawiesinę dymu. Znów, że się ucieszył na wiadomość, że jestem w Moncay, że sprawa podróży na „Trahison" to bagatela. — Mogę liczyć na pewno? — Wypiął piersi i grzmotnął się w nie piąstką: — Na mój honor! Czik-czik, ja tam rządzę...

Skąd w tej małpie tyle wigoru? Przecież nie od „White Horse" stojącego na stole. Nie wyglądał na pijanego, zachowywał się raczej jak brandmajster na pożarze, opanowujący żywioł. Gdyby nie ten wzrost, byłby imponujący, a gdyby inne brzmienie głosu — mógł nawet sprawiać wrażenie wodza

Poszukałem wzrokiem wśród półmroku dymu Kuanga i monsieur Gobinota. Nie zauważyłem, jak wymknęli się z izdebki, w sklepiku natomiast słyszałem ich głosy i jeszcze jakieś inne, malajskie czy chińskie. Narada czy kłótnia? Tak czy inaczej, przewodził monsieur Gobinot, wydając jakieś polecenia. Mniejsza o to. Wszystko razem nabierało barw dość mętnych, trafiłem na peryferie niejasnych spraw, które oczywiście musiały łączyć się z pobytem „Trahison". Dlaczego, zresztą, niejasnych? Monsieur Gobinot prowadził różne interesy handlowe na wybrzeżu moncajskim, a więc może chodziło w danym wypadku o zakup kopry od krajowców?

A więc, w zasadzie, interes z Benem był ubity. Wyskoczył na chwilę do sklepiku, przyłączył się do zagadkowej dla mnie narady, coś tam pokrzykiwał z nieodłącznym swym „czik-czik", wydając swoje przeciwpożarowe zarządzenia. Wrócił z tym, że już zmuszony jest pożegnać się ze mną — do jutra. Mam cierpliwie czekać, aż da znać — co, kiedy i gdzie. Jeszcze raz upewniłem się, czy mogę liczyć — Na mój honor. Ja cię nie zdradzę — dodał jakimś innym tonem, cieplejszym i mniej owadzim. A potem zupełnie po ludzku, ciszej — Za to, coś zrobił dla mojej staruszki...

Wyszedłem za nim w mrok, gdzie już czekano na niego. Kilka niewyraźnych postaci, spośród których dobiegł mnie przyciszony tenorek monsieur Gobinota. — Monsieur Gobinot — powiedziałem. — czy mógłbym zamienić z panem kilka słów — Wypłynął ku mnie — Służę mon ami...

Odciągnąłem go o krok na bok i pocichu wyjaśniłem swoje wątpliwości. Otóż, czy monsieur wie, że w tej chwili w „Paradisie" przebywa kilku gości, co do których... (Skinął głową. Ach, naturalnie wie). Otóż bardzobym sobie nie życzył, aby państwo Gobinot względnie mademoiselle Kora informowali policję o moim tu chwilowym a przymusowym pobycie. Spojrzał wręcz ubawiony — A poco? Odpowiedziałem, że sam nie wiem, poco, lecz odnoszę wrażenie, że tak się już stało. Aż podskoczył. — To niemożliwe, — zapiał na górnym „C", — pan mnie obraża, monsieur, pan nas wszystkich obraża, przypuszczając, że z naszej strony może spotkać pana jakakolwiek nieprzyjemność. Nie widzę powodu, abyśmy mogli uczynić coś podobnego. Ani ja, monsieur, ani moja Suzanne, ani tymbardziej mademoiselle Kora, która — jak to wiem — bardzo cierpi na myśl, że pan nas opuści niebawem. Czy ma pan jakieś konkretne powody do takich przypuszczeń, monsieur, czy to jakaś oszczercza plotka? — Zapewniłem go, że nie mam żadnych konkretnych powodów ani słuchałem żadnych plotek. Poprostu tak sobie, przyszło mi do głowy, że ponieważ przy kieliszku gada się o tym i owym — więc madame Gobinot lub mademoiselle Kora mogłyby w rozmowie z tamtymi panami zejść z braku innego tematu na temat mojej osoby. Obruszył się gwałtownie, że to jest niemożliwe. Wręcz przeciwnie, wszystkim trojgu będzie zależało na tym abym z Moncay wyniósł jak najlepsze wspomnienie o trojgu zabłąkanych tu wyrokami losów Europejczykach. Słowem, rozstaliśmy się najliryczniej, ściskając sobie kordialnie dłonie.

— Gobinot! Allons! — zniecierpliwił się Ben w ciemności.

— Allons. Au revoir, monsieur. Niech pan będzie spokojny — jeszcze raz uścisnął moją dłoń monsieur Gobinot.

— Au revoir. Dziękuję. Do świdanja, Ben, — zawołałem w ciemność — Czekam na obiecaną wiadomość.

— Na mój honor. Czik-czik! — dobiegło energiczne solo zza furjozo cykad.

Nadsłuchiwałem jeszcze przez chwilę odgłosu człapiących w niebyt ludzkich kroków, ogarnięty otuchą z lekką domieszką zwątpienia. Jednak załatwiło się wszystko jakoś zanadto szybko i po prostu, jak na trzy tygodnie wyczekiwania na bądź co bądź bardzo ważny dla mnie fakt. Nawprost, w prześwicie palmowych pni, mrugał do mnie Kampiung. Aż do Hong-Kong? To świetnie, to świetniej, niż świetnie, jednym ciągiem poza obręb francuskich i chińskich wód, w samo sedno cywilizowanego świata. I ten „kartoszka"! Ktoby przypuszczał, że kiedyś tak mi się przyda. Po prostu — Opatrzność! Co tu gadać — jeszcze tydzień, a wykołysałbym się tu zupełnie. Z tym klimatem — to nie było na wiatr. Fatalny klimat!



Rys. W. Siemiątkowski

Wymknęła się chyłkiem przepiękna dziewczyna

Bardzo daleko — ponad mruczando cykad — rzęził gramofon w „Paradisie". Policyjny bal rozwijał się, będą tańczyć z Korą. Pomyślałem o niej z nagłym rozrzewnieniem, gdyż staroświecki pas-de-quatre brzęczał w wilgotnym chemicznie — czystym powietrzu bardzo lirycznym echem dawnych lat i lądów. Dookoła szeleściły krople, spadające z liści, w górze przetarło się nieco i świat cały rozjaśnił się jakimś chimerycznym połyskiem. Kadłuby kopiastych tubylczych chat przy dróżce do misji nabrały wyglądu tajemniczych mauzoleów, a palmy za nimi — kolumn, podtrzymujących opalowe świątynne sklepienia. Nawprost — jeszcze srebrniejszą smugą rozjarzał się horyzont morza, obszar niezamknięty w żaden ziemski kształt, pustynia, jak sen skośnookich demonów. Bardzo, bardzo daleko darły się w dżungli pawjany, złowieszczo i z tęsknotą. Kamforowa smuga powietrza znów załaskotała nozdrza, jak zapach rozgrzanych piersi Kory. Ha! Chciałbym już być w Hong-Kongu, już, zaraz!

Dobrnąłem jak ślepiec do ogródka misyjnego, długo nie mogąc trafić do zamaskowanej furty, przemoczony docna przedzieraniem się przez magnoljowe wertepy. W mojej „sypialni" — dawniej, w czasach świetności Moncay, izby szkolnej dla nawracanych przez padre Ignazio pogan — czekała kolacja, zostawiona przez litościwą Li: miska z rozgotowanym zimnym gaolanem*) i kubek cierpkiego mleczka kokosowego, przykryte płachtą muślinu. Nie zapalając światła, aby nie wabić fruwającego owadziego plugastwa, żułem mdłą kaszę, popijając mleczkiem, od którego skręcało wargi, jak w ataku epilepsji. Jakiś azjatycki świerszcz sokował zapamiętale tuż pod oknem, głosem przedziwnie podobnym do głosu „kartoszki". Wróciłem do medytacji o Benie. A jednak — nieprzyjemny osobnik, jakieś błażeńskie „czik-czik" i to, co drugie słowo, „na mój honor". Licho wie naprawdę, jak to u niego z tym honorem. W trakcie rozmowy miałem chwilę przypływu zaufania doń, lecz teraz, na zimno, Ben wydał mi się niepoważny. Czy nie byłoby rozsądniej porozumieć się bezpośrednio z kapitanem brygu, niż opierać się na „czik-czik"'u? Mogłem zaoferować kapitanowi cztery złote pięciorublówki, jakie miałem zaszyte w pasku od spodni na najczarniejszą godzinę życia, opłatę zupełnie dostateczną za przejazd Moncay — Hong-Kong chociażby w charakterze pasażera pokładowego. Poza tym, mógłbym wyręczyć szanownego kolegę-kapitana w doprowadzeniu brygu do Hong-Kongu, na co posiadam dostatecznie mnie do tego upoważniające dyplomy. Voilà!

Ale, ale! Cóż to brzdąknął Ben, na co nie zwróciłem wtedy uwagi? O zapłacie za coś, co zrobiłem dla jakiejś staruszki? Jakiej staruszki? Co zrobiłem? Nie rozumiałem zupełnie, co to znaczy. Powiedział z takim uroczystym akcentem — „dla mojej staruszki". To, być może — dla matki, którą prosił zawiadomić o chorobie. Ale przecież nie widziałem jej wówczas na oczy i nic dla niej nie zrobiłem. To jakaś pomyłka. Albo — ironiczny przytyk, że nic nie zrobiłem. A niech to djabli wezmą! Wszystko jest podejrzane i chwiejne, ten cały Moncay, „Paradis", deszcz, Kora, bryg...

Naprzeciwko, po drugiej stronie ogródka mżyła za sitowiem krzewów mglista plama oświetlonego okienka w pokoiku padre Ignazio, jedyny żywy znak ludzkiej obecności w tym podejrzanym mglistym świecie. A może skoczyć do starego rypajły na pogawędkę? Owszem, tym bardziej, że mam dlań nowinę: na redzie stoi bryg kupiecki, na którym odpływam jutro — pojutrze. Poczułem nieodpartą potrzebę podzielenia się z kimkolwiek tą wiadomością, dla samoupewnienia się, że Ben i „Trahison" są czymś realnym. A może padre zna bliższe szczegóły o terminie odjazdu brygu? A nuż wybiera się z wizytą na pokład „Trahison"? Dopiłem ostatni łyk mleczka i wyruszyłem za próg, lecz gdy byłem w połowie ogródka, światło w oknie pokoiku padre zgasło, zdmuchnięte nagle a jednocześnie posłyszałem w krystalicznej ciszy nocy łaskotliwy kobiecy śmieszek, dobiegający stamtąd. Miły malajski głosik klarował coś przymilnie i znów załamał się w śmieszku. Teraz zabuczał głos padre Ignazio. Skrzypnięcie pryczy. Z niesmakiem zawróciłem z powrotem. Merdre! Nie będę przecież przerywał romantycznej idylli. Stary kozioł, parbleu! „Już od czterdziestu lat poszerzam tu krzyżem imperium kolonialne Republiki, mój młodzieńcze, — oświadczył na wstępie naszej znajomości. Wkrótce dowiedziałem się, że nie tylko krzyżem. Niedarmo co krok spotykało się w tych okolicach krajowców z nosami o kształcie, zbliżonym do nosa czcigodnego poszerzyciela imperium. Kiedyś tknęło mnie nawet pewne niejasne podejrzenie, gdy przyglądałem się zbliska ruchliwym nerwowym nozdrzom Kory i odrobinę zanadto garbatemu profilowi jej prawie baskijskiego noska. A potym jakaś nieuchwytna aluzja madame Gobinot na temat ojca Kory, który zupełnie nie poczuwa się do obowiązku opieki nad nieszczęśliwą dziewczyną na manowcach.

A co mnie, zresztą, to wszystko obchodzi? Położyłem się na pryczy, senny i zły, okrywszy się szczelnie moskitjerą. W misce na stole roiły się i piszczały gekko, żerując na resztkach gaolanu. Deszcz zaczął padać na nowo, monotonny, blaszany, wypełniając ogrom obcej nocy jałowym syczeniem. Histeryczne zawodzenie pawjanów. Ckliwy, wszechobecny zapach kamforowych drzew, zapach deszczu i wielkiej samotności. Żeby choć jeden żywy realny dźwięk z realnego świata! Wszystko za mgłą — obce, podejrzane, w Azji. Nawet gdyby nagle ukazał się tu upiór — miałby skośne oczy, przemówił głosem podobnym do koloratury cykad i śmierdział kamforą.

Nie morze, lecz malaryczne bagno z rybami, po zjedzeniu których dostaje się wysypki na całym ciele. Rajski ogród — a spróbuj zjeść tutejsze jabłko! Zwymiotujesz dwa.

Albo taki padre! Poszerza imperium! Zgoda, że poszerza, ale — czym? Zjawi się jakiś wybawiciel z tego deszczowe piekła i — co? „Czik-czik", „na mój honor...".

Czik-czik, czik-czik, czik-czik... — skrzypią sarkastycznie tonkińskie świerszcze. Duszno. Szumi deszcz, szumi deszcz w dżungli, szumi deszcz. Daleko do Hong-Kongu. Boże święty, jak daleko!

---

*) Dalekowschodnia odmiana prosa.

Ciąg dalszy w następnym numerze

CHCIAŁAM MIEĆ SREBRNEGO LISA

i co z tego wynikło...

Zawsze chciałam mieć srebrnego lisa.

Zaczęło się jednak nie od pocałunku. Jak w pewnym reportażu o burakach cukrowych (chociaż tutaj ten pocałunek miałby o wiele więcej uzasadnienia. Mężczyzna bowiem, sprowokowany pocałunkiem ukochanej kobiety, jest zdolny do bardziej heroicznych czynów — niż ofiarowanie jej — srebrnego lisa), ale niemniej dziwnie.

Oboje z mężem lubiliśmy bardzo wszelkiego rodzaju zwierzaki. A że mieszkaliśmy na wsi, nie było to więc sprawą bardzo skomplikowaną. Toteż mieliśmy na „gospodarstwie", poza niezliczoną ilością wszelkiego gatunku psów — kota angorę i sjamczyka, kunę leśną oswojoną, z prawem „mieszkania" na pokojach, parę białych tchórzy, kilka chomików, papugę mówiącą kilka słów bardzo nieprzyzwoitych i wspaniałego puchacza, również oswojonego, któremu wybudowano specjalną klatkę w ogrodzie.

Miał olbrzymie o ślicznej, pomarańczowej barwie oczy, które do rozpaczy doprowadzały moją matkę i teściową, ponieważ obawiały się dla mnie... zapatrzenia.

Aż pewnego dnia przyniesiono nam z lasu parkę młodziutkich, rudych lisów.

Wyjęte z worka, oślepione światłem i dziwacznym dla nich otoczeniem, patrzyły szeroko rozwartymi ślepkami, pełnymi bezgranicznego przerażenia.

Były śliczne, ale najzupełniej dzikie. Puszczone wolno, skryły się w najciemniejszy kąt. Po kilku dniach oswoiły się wprawdzie trochę, ale trzymać ich w mieszkaniu nie było można ze względu na psy i nieporządek, jaki robiły. I dla nich więc wybudowano w ogrodzie przestronne klatki z betonowym podkładem, żeby nie mogły się podkopać.

Po pewnym czasie doszliśmy do wniosku, że można by doskonale połączyć zabawę z korzyścią. Po prostu trzeba założyć prawdziwą, racjonalną hodowlę... srebrnych lisów.

Zaczął się w domu sądny dzień jeden po drugim. Szły pisma do Związku Hodowców Zwierząt Futerkowych tam i z powrotem; rady, wskazówki, objaśnienia. W miarę, jak nasz plan przybierał coraz bardziej realne kształty, na wszystkich stołach i stolikach zaczęły się piętrzyć stosy kartek papieru milimetrowego. Bo mój mąż sam robił obliczenia, mylił się, poprawiał i udoskonalał... Budowy klatek, najbardziej nowoczesnych, pilnowaliśmy na zmianę, jakby to miał być co najmniej pokój dla najukochańszego dziecka.

Dzień, w którym przyszły klatki z lisami, był dla nas dniem niemal rodzinnego święta. Martwiliśmy się, jak też one przyjadą z dalekiej drogi. Czy nie będą zbyt osłabione? Czy zdrowe?

Zapewne niewiele, a może żadna z pięknych pań, wkładając na swoje ramiona futerko srebrnego lisa, zastanawiało się nad tym, ile pracy, pieczołowitej niemal troskliwości i przede wszystkim fachowości wymaga to zwierzątko, zanim stanie się piękną, nieżywą już ozdobą.

Hodowla lisów srebrnych, to jedna z najprzyjemniejszych, chociaż nie jest łatwą, jeśli się chce ją prowadzić racjonalnie.

Lis srebrny w czasie swego krótkiego, bo paromiesięcznego życia, wymaga nadzwyczajnej opieki. Oczywiście lisy zarodowe, hodowlane żyją dłużej, po kilka lat, ale koniec ich jest taki sam, jak i tych futerkowych.

Więc przede wszystkim, kiedy nadchodzi okres tzw. „godów" (cieczki), na fermie nie śmie się zjawić obcy człowiek. Może chodzić tylko ten, kto pilnuje ich stale i to w porze dawania posiłków, do którego lisy są przyzwyczajone.

Samca wpuszcza się do wytypowanej uprzednio samiczki na kilka godzin, a domki zamyka się dokładnie, aby nie mogły się skryć. Obserwacje przeprowadza się z wieżyczki domku fermowego, która dla tych właśnie celów jest wybudowana. Laik może być zdziwiony, że takie sytuacje należy obserwować. Otóż muszę wyjaśnić, że to jest konieczne.

Lisy tak jak i ludzie, mają swoje sympatie i antypatie i w tym drugim wypadku samiczka nie pozwoli zbliżyć się do siebie nie odpowiadającemu jej samcowi, broniąc się wszelkimi sposobami, a samiec nie pokryje antypatycznej dla niego partnerki. Po drugie, po pokryciu nie ma potrzeby puszczać drugi raz samca do samiczki. Mając te wszystkie rzeczy na uwadze, konieczna jest obserwacja tych najbardziej intymnych momentów życia srebrnych lisów.

Drugi ważny moment dla hodowcy, to okres końca grudnia do połowy stycznia, kiedy zabija się lisy przeznaczone na skórki.

Dla mnie szczególnie w późniejszych czasach, był to okres tragiczny, bo przyzwyczaiłam się do tych ślicznych i mądrych stworzeń. Dlatego też nigdy nie starałem się zbliżać do tych lisów, które były przeznaczone na skórki.

Lisy srebrne oswajają się bardzo. Miałam jedną samiczkę imieniem „Halma", która od pierwszej chwili wylądowania na naszej fermie wydała mi się specjalnie sympatyczna. Dziwnie „dobrze jej z oczu patrzyło". Ona jedna nie okazała specjalnego zaniepokojenia od pierwszego momentu po wykotach, kiedy już małe zaczęły wychodzić z domków, nie biegała nerwowo po klatce w obawie o dzieci.

Któregoś dnia pod nieobecność męża (on bowiem nie odznaczał się zbytnią odwagą, nauczony przykrym doświadczeniem z czasów dzieciństwa, kiedy to został dotkliwie pokąsany przez jakąś niepozorną domową psinę) zaryzykowałam wejście do klatki „Halmy". Usiadłam spokojnie, prawie bez ruchu, na wysuniętej ręce trzymając kawałek cukru.



Potem nawet brała je wprost z ust...



...chociaż i pierwszy posiłek z mięskiem smakuje

Długo trwało zanim podeszła. Powtarzałam ten zabieg kilka czy nawet kilkanaście dni i doprowadziłam do tego, że samo już ukazanie się moje na fermie, wywoływało u „Halmy" objawy radości.

Później przychodziła na kolana, a kiedy zaobserwowała, że mam w kieszeni rodzynki, wsuwała pyszczek do kieszeni w poszukiwaniu smakołyku, pomagając sobie łapkami. Potem nawet brała je (ku oburzeniu mego męża i najgorszych jego proroctw ewentualnego oszpecenia mnie przez ukąszenie) wprost z ust — tak delikatnie, że nie czułam nawet na ustach dotknięcia jej pyszczka. Naturalnie przesądzone było, że „Halma" zostanie na fermie aż do „własnej śmierci".

Malutkie lisy w niczym nie przypominają tych wspaniałych zwierząt w stanie dorosłym. Są brunatne, puszyste, ale bez włosa szerstnego, z mizernym śladem srebrnych włosków, późniejszej ich ozdoby. Jedynie biały „kwiat" na końcu maleńkiego ogonka jest zapowiedzią przyszłej piękności.

A ileż koło nich zabiegów! Po trzech tygodniach — pierwsze odrobaczenie, przez czyszczenie wnętrz uszu od insektów oraz podawanie pigułek odrobaczających. Bardzo trzeba uważać, żeby nie udławić małego pacjenta. Taki brzdąc często „oszukuje" i po tym wypluwa pigułki i zabieg trzeba powtarzać kilka razy. Ale przy najmniej z łapaniem nie ma kłopotu, i nie potrafią jeszcze bronić się ani gryźć.

Natomiast stare wymagają dużego sprytu i zręczności przy łapaniu do tego samego zabiegu. Lis schwytany za ogon potrafi tak zgrabnie wywinąć się, że łapie swego „oprawcę" za rękę. Pokąsanie jest bolesne dłuższy czas. Ale jeśli się uda delikwenta unieruchomić trzymając go ręką za kark to musi on otworzyć pyszczek, który mocno przewiązuje się sznurkiem przeciągniętym między zębami.

Tego rodzaju zabiegi są bezwzględnie konieczne, bo tak pielęgnowane zwierzątka przeznaczone na skórki mają futerko o zdrowym włosie i pięknym połysku. Również konieczne jest dawanie małym w pożywieniu różnego rodzaju witamin i tranu, aby uchronić przed rachityzmem, co dyskwalifikuje je jako sztuki hodowlane. W tym samym celu daje się lisiczkom preparaty wzmacniające kości.

Organizm lisi wymaga tak jak ludzki pielęgnacji. Mają one też swoje dolegliwości, na które trzeba zaraz znaleźć lekarstwo i radę. A i pożywienie codzienne, choć mało urozmaicone, jest nie byle jakie. Składa się na nie mięso surowe mielone, jarzyny surowe, kasza gotowana, często jajka surowe (przy obstrukcjach — surowa wątroba), kości mielone, lub preparaty w proszku. Przy rostroju żołądka najlepiej pomaga — królik „au naturel" to jest z szerścią. Ale nie koniecznie musi być podany „na żywo" jak mi to ktoś kiedyś z przekonaniem opowiadał.

Na zakończenie muszę się przyznać, że jednym z utajonych w głębi serca powodów założenia fermy było pragnienie posiadania choćby jednego srebrnego lisa, a z czasem może i peleryny... Ale, niestety, jedna reguła zdaje się jest bez wyjątku — bo jak mówi przysłowie — szewc bez butów chodzi.

Danuta Hulimkowa



Najedrowsza „aprowizacja"



Niech sprobuje mi kto zabrać talerz

Nowe książki

JÓZEF MACIEJOWSKI — Uwaga nadchodzi. — Treścią tej ciekawej książki jest wiecznie dręczący ludzkość problem pokoju czy wojny. Napisana została bezpośrednio po napadzie hitlerowskim na Polskę w 1939 r. i uzupełniona po zakończeniu wojny. Zawiera szereg ciekawych zagadnień i kształtuje pogląd autora na świat współczesny.

Wydawnictwo Spółdzielni Wydawniczej „Zryw" w Bydgoszczy, str. 184 z 12 rysunkami Kondratskiego.

CZESŁAW CENTKIEWICZ — Czeluskin. — Wyprawa „Czeluskina" do bieguna północnego. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", str. 77

JULIUSZ ŻUŁAWSKI — Pole widzenia. — Poezje, str. 28, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI — Zaczarowana dorożka. — Poezje, str. 114, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

B. DĄBROWSKI — 114 — start! 4 tom Biblioteki romansów i powieści. str. 64 — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

W. SIEROSZEWSKI — Bokser-Kulisi — Dno nędzy. Trzy nowele składają się na tom 5 Biblioteki romansów i powieści, str. 64. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

ZOFIA KOSSAK — Nieznany Kraj. Opowiadania, str. 182, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

IRENA KRZYWICKA — Bunt Kamila Martena. Powieść, str. 190. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

STEFAN ŻEROMSKI — Wierna Rzeka. — Powieść, str. 155. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

ANTONINA ŻABIŃSKA — Rysice. Ciekawe opisy tych zwierząt z ilustracjami, str. 79. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

ALEKSY TOŁSTOJ — Piotr I. — Powieść w 3 tomach, str. 401+336+186. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

EUGENIUSZ SZMIDTGAL — Materiały fotograficzne i ich obróbka. — Z cyklu „Wzorowy zawodowiec". Ciekawy i potrzebny podręcznik dla fotografów-amatorów, str. 102. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

LOPE DE VEGA
na scenie krakowskiej

Premiery Miejskich Teatrów w Krakowie mają już ustaloną opinię: każda z nich jest dużym osiągnięciem rozwijającego się w trudnych warunkach powojennego teatru polskiego.

Dla uzasadnienia tej opinii wystarczy wspomnieć o światowej realizacji „Klątwy", albo o prapremierze sztuki Brandstaettera „Powrót syna marnotrawnego".

Ostatnio Teatr Miejski im. Juliusza Słowackiego w Krakowie wystawił „Owcze źródło" Lope de Vegi.

Vega, charakterem swojej twórczości przypomina nieco naszego Bogusławskiego i uważany jest za twórcę narodowego teatru w Hiszpanii z tym, że dzieła swego dokonał znacznie wcześniej, ale za to nie sam.

Teatr hiszpański jest stary. Pierwsze jego ślady to czasy wczesnego średniowiecza. Zniszczony najazdem Gotów, wrócił do życia dopiero po podboju Półwyspu Pirenejskiego przez Arabów. Hiszpański dramat narodowy począł się rozwijać w wieku XVI, łącząc w sobie dawne romanse ludowe z liryką współczesnych poetów. W tym to czasie powstaje szereg dramatów, komedii, krotochwil. Z rzeszy dramatugów wspomnieć trzeba Gil Vincente'a i Lope de Rueda. Równolegle egzystują i osiągają swój poziom najwyższy widowiska kościelne, zbliżone swoim charakterem bądź do misteriów, bądź do moralistów. Na tak przygotowanym fundamencie wyrasta twórczość dwu wielkich autorów hiszpańskiego teatru: Lope de Vegi (1562—1635) i nieco młodszego Calderona.

Założeń obu pisarzy nie można równać ze sobą: Calderon, mistrz stylu, zwolennik wysokiej klasy pisarstwa dramatycznego, a obok niego Lope de Vega, starający się w pierwszym rzędzie zadośćuczynić wymaganiom publiczności, która „zasiadłszy na widowni, chce, by (autor — p. mój) przedstawił jej historię, co zaczyna się od stworzenia świata, a kończy sądem ostatecznym". To wygrywanie gustu publiczności staje się jedną z podstaw „reguł dramatycznych" Lope de Vegi. „Publiczność przecież nam płaci i słusznie musimy do niej mówić językiem pospolitym, by się jej podobać" (tłum. W. J. Dobrowolski).

Mimo te różnice, zasługi obu pisarzy są chyba równe. Można by zaryzykować opinię, iż Lope de Vega przygotował grunt Calderonowi, oddając mu do uszlachetnienia widownię, rozentuzjazmowaną teatrem.

„Owcze źródło" niedawno przetłumaczone przez L. H. Morstina (trudno nieznającemu języka mówić o pracy tłumacza) jest sztuką społeczną, sztuką, w której bohaterem jest lud rozpoczynający dość nieśmiałą, ale ostatecznie zdecydowaną walkę z najeźdźcą.

Trudno jeszcze mówić o jakimś patriotyzmie mieszkańców owczego źródła (jest to nazwa wioski) istnieje on raczej w podświadomości. Ledwie kiełkują w sercach tych dobrych ludzi pierwsze zwiastuny świadomości narodowej, wyrażające się choćby w tym, że własny monarcha nie napotka na żaden sprzeciw, gdy stosuje wobec nich, z całą surowością, prawa inkwizycji — on jest własny i przez to już ma do tego prawa, jest lepszy niż najeźdźca. Pogląd dość prymitywny, ale znamienny dla tego stanu rozwoju uczuć narodowych.

Inscenizacja B. Dąbrowskiego wybiegła poza ramy spektakli, oglądanych po wojnie na scenach polskich. Widownia miała możność zobaczyć, jak wyglądało (bliskie zresztą wzorcowych) widowisko wieków średnich, z tym jednakże, że owa średniowieczność nie ciążyła nikomu, gdyż subtelna ręka realizatora słusznie skreśliła jej dość istotne cechy, jak rozwlekłość tempa i „teatralny" gest aktorów.

Polska prapremiera „Owczego źródła" otrzymała świetną oprawę sceniczną. Autorem jej był Andrzej Pronaszko. Nic dziwnego, że odsłonięcie każdej nowej dekoracji witane było rzęsistymi brawami.

Z wykonawców wyrazy największego uznania skierować trzeba pod adresem Zofii Rysiówny, Jerzego Leszczyńskiego i Kazimierza Opalińskiego.

Całą „wołową skórę" można by zapisać entuzjastycznymi wrażeniami z tego niecodziennego, niesłychanie barwnego i bogatego spektaklu.

Mieczysław Markowski



Scena ze sztuki Lope de Wega: „Owcze źródło" Na zdjęciu Aleks. Śląska (Paschala), Z. Rysiówna (Laurencja), K. Opaliński (Mengof), Wł Sheybal (Frondoso) i S. Holubek (Barrildo).

Teatr Miejski w Lublinie

Teatr Miejski w Lublinie zasługuje w obecnym sezonie na baczną uwagę tych wszystkich, którzy interesują się życiem teatralnym kraju. Nie można bowiem określić go epitetem „teatr prowincjonalny", epitetem — mającym wciąż u nas znaczenie raczej ujemne. Na przykładzie teatru w Lublinie można było udowodnić, że to znaczenie traci w naszych powojennych teatralnych stosunkach swój sens. Teatry na prowincji wytrwałą pracą podnoszą nie tylko swój własny poziom artystyczny, lecz i poziom życia kulturalnego naszego kraju. W wielu miastach, przed wojną pozbawionych teatrów, są dziś one głównym ośrodkiem życia kulturalnego prowincji, a bardzo często i społecznego.

Teatr Miejski w Lublinie, którego dyrektorem jest obecnie zasłużony na polu działalności artystycznej, znany aktor, Maksymilian Chmielarczyk, doborem repertuaru i całokształtem działalności artystycznej wyrasta znacznie ponad ten poziom, jaki dotychczas jeszcze określamy epitetem — „teatr prowincjonalny".

Ostatnimi sukcesami Teatru Miejskiego w Lublinie były przedstawienia: sztuki E. A. Scribe'a „Szklanka Wody" w reżyserii Czesława Strzeleckiego i sztuki J. B. Pristley'a, „Pan Inspektor przyszedł", w reżyserii Zofii Modrzewskiej. Oba przedstawienia wyróżniały się zarówno dobrą grą całego zespołu, ciekawą inscenizacją, jak również pomysłową i gustowną oprawą dekoracyjną, wykonana przez utalentowanego art. malarza Jana Hawryłkiewicza, znanego publiczności stołecznej dekoratora Miejskich Teatrów Dramatycznych w Warszawie. Jego oprawa sceniczna przyczyniła się znacznie do sukcesu obu przedstawień, na które uczęszczali tłumnie nie tylko mieszkańcy Lublina, ale i dalszych miejscowości województwa lubelskiego. (L. R.).



Scena ze sztuki Scribe'a „Szklanka wody" Na zdjęciu od lewej: Gołębiowski, Litwiński, Wilkoszewska, Skrzydłowska, Stefańska i Strzelecka.

Grójec tętni pełnią życia

Jeszcze w czasie okupacji niemieckiej w Polsce, bo w maju 1940 roku, w Grójcu jako stolicy powiatu, powstał Oddział „Społem". Już wtedy Oddział spełniał swoją doniosłą rolę gospodarczą, bo Grójec, leżący przy wielkiej magistrali: Warszawa — Radom — Kielce — Kraków — tętni pełnią życia, które najjaskrawiej występuje w czwartki — dni targowe.

U schyłku okupacji został doszczętnie rozgrabiony, a biura i magazyny — zdewastowane. Pracę rozpoczynano od początku, by znów podnieść Oddział do roli przodującej w powiecie.

Oddział mieści się w budynkach dzierżawionych od Głównego Urzędu Likwidacyjnego przy ul. Lewiczyńskiej 3. Magazyny oddziału, które w stosunku do jego potrzeb uznać należałoby za niewystarczające, mieszczą się na miejscu Nabyto plac przy stacji kolejowej, gdzie stanąć mają nowe magazyny Oddziału, przeznaczone na towary masowe. Tabor samochodowy składa się z 4 wozów ciężarowych.

Oddział, jak nas informuje jego kierownik ob. Ryszard Szulecki, zatrudnia obecnie 38 pracowników i prowadzi artykuły kolonialne - spożywcze, wyroby monopolowe, towary włókiennicze i przedmioty gospodarstwa domowego.

Oddział w Grójcu spełnia w życiu gospodarczym swego powiatu dominującą rolę. O jego rozwoju świadczą obroty, które z 17 milionów zł w r. 1945 wzrosły do 336 milionów zł w r. 1947. Pracuje od początku na niskich kosztach handlowych, które w r. 1946 wynosiły 3,7 proc., a w r. ub. obniżone jeszcze zostały do 3 pro cent. Jest to zgodne z ogólną polityką Związku „Społem", który zdąża konsekwentnie do tego, aby przez niskie koszty handlowe dać spółdzielniom i konsumentowi najtańszy towar.

Gminnych spółdzielni „Samopomoc Chłopska" istnieje w powiecie 18. Powołały one jeszcze w lutym br. swój Powiatowy Związek. Spółdzielnie te odczuwają dotkliwy brak kapitałów obrotowych. W Grójcu istnieje ponadto Spółdzielnia Spożywców „Wieśniak", prowadząca 5 sklepów. Rada Oddziałowa jest b. aktywna, ale przede wszystkim podkreślić należy życzliwe dla Oddziału stanowisko miejscowych władz w osobach ob. ob. Juliusza Sitkowskiego — starosty i Wacława Bednarskiego — prezesa Powiatowej Rady Narodowej (k)

KRONIKA KULTURALNA

Laureatami Konkursu imienia poległego w Powstaniu Warszawskim młodego uczonego, krytyka i publicysty Włodzimierza Pietrzaka zostali: **prof. Jan Czekanowski** (nagroda naukowa— 200.000 zł.) za całokształt twórczości powojennej **Hanna Malewska** — nagroda publicystyczna (150.000 zł.) za powieść „Kamienie wołać będą"; **Paweł Jasienica** — nagroda publicystyczna (150.000 tys. zł.) za artykuły o Ziemiach Odzyskanych, publikowane w „Tygodniku Powszechnym".

Trzeba przyznać, że jury w składzie: Jan Dobraczyński, dr. Wł. Grabski, inż. Szczepan Jeleński, prof. St. Pigoń, dr. J. Nowak - Dłużewski, ks. prof. Piotr Oborski, prof. Wł. Tatarkiewicz dokonało trafnego wyboru zwłaszcza, że kierowało się aktualnymi potrzebami katolickiego społeczeństwa w Polsce i że nagroda ufundowana została dla uczczenia pamięci pisarza katolickiego.

W przyszłym sezonie teatralnym ma powstać w Warszawie Ludowy Teatr Muzyczny, liczący 2.000 miejsc, który będzie miał za zadanie upowszechnienie kultury muzycznej i teatralnej wśród najszerszego ogółu. Teatr ten będzie spółdzielnią organizacji artystycznych, jak ZASP, ZAIKS, Związek Muzyków, oraz szeregu osób prywatnych, wśród których są tak dobrze znane wszystkim nazwiska: reżysera K. Borowskiego, J. Mrozińskiego, Lucyny Messal, Zb. Sawana, Lidii Wysockiej, dyr. Jastrzębiec-Rudnickiego i innych. Teatr wybudowany zostanie w okolicy Pl. Grzybowskiego. Przy teatrze ma powstać studium teatralne, operowe i szkoła baletowa..

Tegoroczną nagrodę województwa poznańskiego za działalność naukową otrzymał zasłużony muzykolog dr. A. Chybiński, znany autor prac o muzyce Podhala, analizy pieśni „Bogurodzica", analizy dzieł Chopina, biografii Karłowicza, „Słownika Polskich muzyków" i wielu innych prac.

Problem popularyzacji książki dyskutowany jest na łamach prawie wszystkich pism. I chociaż od czasu powołania Komitetu Upowszechnienia książki upłynęło już dwa miesiące, głucho dotychczas o planie wydawniczym. Ale czekajmy cierpliwie, lepiej dłużej pomyśleć i opracować dobry plan. A sprawa wymaga gruntownego przestudiowania. Słuszne uwagi kreśli Antoni Trepiński w tyg. „Dziś i Jutro". Zawiedzie się srodze, kto sądzi, że wystarczy sprytnie rozkolportować jakąś książkę, aby była czytana, a jeszcze więcej myli się, kto przypuszcza, że rozsprzedana całkowicie wedle „nowoczesnych metod" spotkała się z niekłamanym uznaniem. Rozczaruje się kto sądzi, że wystarczy „zorganizować dobrą prasę", aby ofiary przesadnej reklamy potwierdziły sukces jakiejś nowości wydawniczej". Czytelników nie tak łatwo jest oszukać. Opinię dla książki trzeba długo urabiać, to też dziś książki Sienkiewicza, Żeromskiego, Prusa i innych dawnych pisarzy rozchodzą się szybko, bo mają ustaloną opinię w społeczeństwie. Nowi pisarze muszą sobie utorować dopiero drogę do Czytelników. I Żeromskiego i Konopnickiej i innych „początnych" autorów też z początku nie czytano. Pierwsze ich książki o nakładzie 2.000 egzemplarzy rozchodziły się w ciągu kilku lat. Dziś ich książki w nakładzie 10 czy nawet 20 tysięcy rozchodzą się w ciągu paru miesięcy. Dlatego opracowanie planu wydawniczego i rozpowadzenie ksążek, wymaga poważnego zastanowienia się.

Polskie Radio ogłosiło konkurs na opowiadanie o dowolnym temacie, objętość 6 stron maszynopisu. Za najlepsze utwory przyznano 18 nagród na sumę 250 tys. zł. Termin nadsyłania prac upływa 1 czerwca br., a wyniki ogłoszone zostaną 1 lipca br. Mamy nadzieję, że wielu naszych Czytelników weźmie udział w tym konkursie, dlatego podajemy, że prace opatrzone godłem przesyłać należy do Wydziału Literackiego Polskiego Radia, Warszawa, Noakowskiego nr. 20.

KAZIMIERZ WOJCIECHOWSKI

SAMOKSZTAŁCENIE W SŁUŻBIE PRACY I KULTURY

Gdy się uważnie rozejrzymy w koło siebie, znajdziemy wśród towarzyszy pracy ludzi ciekawych, zdatnych i uspołecznionych. Pracują oni coraz lepiej, bo zgłębiają swój fach, stają się cenionymi specjalistami, dużo wiedzą oraz inteligentnie myślą.

A nie zawsze wynieśli to ze szkoły, bo nie zawsze życie pozwalało długo do niej chodzić lub byli za młodzi, aby wszystko wówczas dobrze pojąć. Zabrali się do pracy nad sobą dopiero w wieku starszym, dojrzałym. Interesujące jest zbadanie sposobów i dróg, którymi tacy samouncy zdążają do wiedzy i do wykształcenia się w zawodzie przez własną pracę. A ciekawsze jeszcze to, że każdy człowiek może zwiększyć swe kwalifikacje zawodowe i ogólne, jeśli tylko spełni pewne konieczne warunki.

Któż to jest właściwie samouk? To człowiek, który poza szkołą sam lub w kółku znajomych przez własne bądź wspólne starania doskonali się w umiejętności praktycznej, powiększa swą wiedzę i staje się kulturalniejszym. Ciągle się dokształcając umie coraz lepiej pracować, żyć, współżyć z gromadą i myśleć. Nie znaczy to, że sam sobie we wszystkim radzi — przeciwnie, używa takich środków, jak książka, odczyt, kurs. Lecz umie potrzebne sobie rzeczy kształcące znaleźć, ma do tego chęć i umie rozważyć je, przedyskutować, pojąć krytycznie. Potrafi też uważnie patrzeć, czynić próby, doświadczenia, wyciągać wnioski, a wreszcie zdobytą wiedzę spożytkować.

O Murarzu samouku

Znam wielu samouków wśród robotników. Niejeden z nich to dobry specjalista lub dzielny społecznik. Szczególnie ciekawy jest pewien murarz w Warszawie, który lubi swój zawód, a interesując się nim głębiej i szerzej, podnosi jednocześnie swą kulturę ogólną. Nie przeczę, że to jednostka dziś wyjątkowa. I może dlatego warto o nim pisać.

Spotykałem go na odczytach i w bibliotece publicznej. Człowiek ten umie wyzyskać zimę jako okres na ogół martwy w budownictwie. Wówczas to najwięcej czasu poświęca samokształceniu, choć i w innych porach roku znajduje wolne godziny na pracę kulturalną.

Wiemy, że zawodowcy, nawet najlepsi, interesują się często dodatkowo dziedzinami nie związanymi ze swoim zawodem. Tak np. krawca może ciekawić film, jego artyzm i technika, zagadnienie filmu barwnego i trójwymiarowego. Z amatorstwa sporo o tym czyta i rozmawia. Takie zainteresowania niezawodowe są zaspakajane przez samokształcenie. Ale zatrzymajmy uwagę na tym przyjacielu murarzu, który szczególnie bada swój zawód i doskonali się w nim.

Człowiek ten umie przypatrzeć się trudnej pracy i przez uporczywe próby zrobić to samo. Gdy bierze cegłę do ręki, poznaje po wadze i wyglądzie, czy uderzona młotkiem pęknie w miejscu pożądanym. Zmysły ciągle ćwiczone, uważna wprawa, celowość ruchów i umiejętność wnioskowania oddają mu wielkie usługi. Idąc tą drogą nauczył się dobrze używać pionu, murować trudne miejsca, jak narożniki i sklepienia, a od kilku lat uchodzi za jednego z lepszych murarzy specjalistów od wysokich kominów fabrycznych. Pracuje szybko i dokładnie.

Swą zdatność zawodową stale podnosi nie tylko przez obcowanie z najlepszymi fachowcami. Wiele zawdzięcza również czytaniu. Książki i czasopisma są mu bliskie. Właściwie brakuje nam odpowiedniej literatury zawodowej dostosowanej do potrzeb rzemieślnika. Mimo to znajdywał on i znajduje w czasopismach artykuły i wzmianki, które w skupieniu rozważa i rozumie. Wynalazł również kilka popularnych książek zawodowych w bibliotece, nadto korzysta ze skryptów wydawanych przez Instytut Rzemieślniczy. Zaczyna się już dobrze orientować w rysunkach technicznych budowli.

Głębsze zainteresowanie zawodem spowodowało, że sięgnął też do sąsiednich dziedzin. Przed wojną pracował na budowach zwykłych. Były to kamienice mieszkalne, czasem gmachy państwowe. Po wojnie bierze udział w odbudowie. Jako człowiek zręczny i pomysłowy pracuje najczęściej przy budynkach zabytkowych. Naprawia uszkodzone kolumny, pilastry, portale.

Zainteresowały go pamiątki po starej Warszawie. Zaczął więc czytać jej historię zwracając szczególną uwagę na zabytki architektoniczne. Spotkał się z nowymi nazwami: gotyk, renesans, barok, klasycyzm. To nazwy stylów. Style decydowały o głównych liniach, o kształcie starego budynku. Dowiadywał się z książek, na czym polega dany styl, a te wiadomości zestawiał z kształtem budynków, które odbudowywał.

Wycieczki kształcące

Tak go to zaciekawiło, że szereg niedziel poświęcił na zwiedzanie zachowanych budynków. I choć nieraz widział je wcześniej, to jednak obecnie dopiero je „odkrywał". Wczuwał się w linie, rytm kolumn, w poszczególne ozdoby i w harmonię całości. Obszedł Stare Miasto, przyjrzał się zupełnie inaczej niż dawniej gotyckiemu kościołowi Panny Marii na Nowym Mieście, cieszył się szlachetnymi proporcjami klasycystycznych kamienic na Bielańskiej (zachowały się z nich niektóre fasady — fronty). Uważnie badał fasadę Teatru Wielkiego na Placu Teatralnym.

Innym razem zrobił wycieczkę za miasto, aby się przyjrzeć pałacowi w Wilanowie — pięknemu barokowi świeckiemu. Zwiedzając znów zabytki staromiejskie uważnie śledził zachowane resztki murów obronnych. Mierzył tam całówką wymiary dawnej cegły i przyglądał się z zastanowieniem innemu wiązaniu cegieł w murze, niż to się praktykuje dzisiaj. Ciekawą część muru z bastionem przerysował do swego notatnika. I tak myśląc nad budowlami miasta poczuł się dumny ze swego fachu. Jest współbudowniczym, jest potrzebny, pożyteczny dla ludzi, a gmachy, które wznosili dawni towarzysze, miały sens i dziś mieć będą, gdy ręka murarza utrudzi się porządnie. Odbudowywać i budować dalej — oto nakaz, to sens życia.

Dalsza praca, wysiłek ręki i umiejętność patrzenia oraz myślenia doprowadziły go do nowych zagadnień. Jakie mają być przyszłe ulice Warszawy? Dlaczego szerokie? Gdzie mają powstawać szkoły, parki? Czy fabryki znów budować na Woli? Przecież wiatry zachodnie znoszą dym na Warszawę! Nowe pytania ożywiane przez czytanie gazet i rozmowy kazały czytać osobne książki o odbudowie Warszawy, śledzić plany Biura Odbudowy Stolicy, chodzić na odczyty.

Nasz murarz staje się człowiekiem prawdziwie inteligentnym. Coraz lepiej pracuje, umie patrzeć i widzieć, potrafi myśleć i rozumieć. Jakiś niedługi nawet kurs pozwoli mu zająć stanowisko majstra.

Przyczyny powodzenia

Czemu to ów ciekawy człowiek zawdzięcza wyraźny postęp w swym zawodzie i kulturze?

Temu, że ma dostatecznie silną wolę, aby żyć ciekawiej i mądrzej. Ma ambicję, aby być rzemieślnikiem najlepiej wykwalifikowanym. Naśladuje w tym względzie najlepsze wzory ludzi postępujących naprzód. Umie wybrać drogi, które prowadzą do poznania rzeczy nowych. Potrafi znaleźć wolny czas na zajęcie kulturalne, skupić uwagę i być cierpliwym — umie organizować sobie życie w sposób rozsądny. Wie z kim się wiązać dla wspólnego samokształcenia, umie słuchać i dyskutować, i — co szczególnie ważne — rzecz zapamiętać przez dobre zrozumienie, przez rozmowy na ten temat i zastosowanie bądź w praktyce zawodowej bądź w życiu tego wszystkiego, co jest pożyteczne.

Nasz znajomy jest na dobrej drodze do zdobycia kultury: rozwija w sobie postawę twórczą i nie zaniedbuje wykształcenia szerszego, które w jego praktyce obraca się wokół zawodu. Własny trud, trud skuteczny, przekonywa go ciągle, że i w wieku dojrzałym umysł ludzki może się dużo nauczyć, raczej więcej niż w okresie dzieciństwa i młodości.

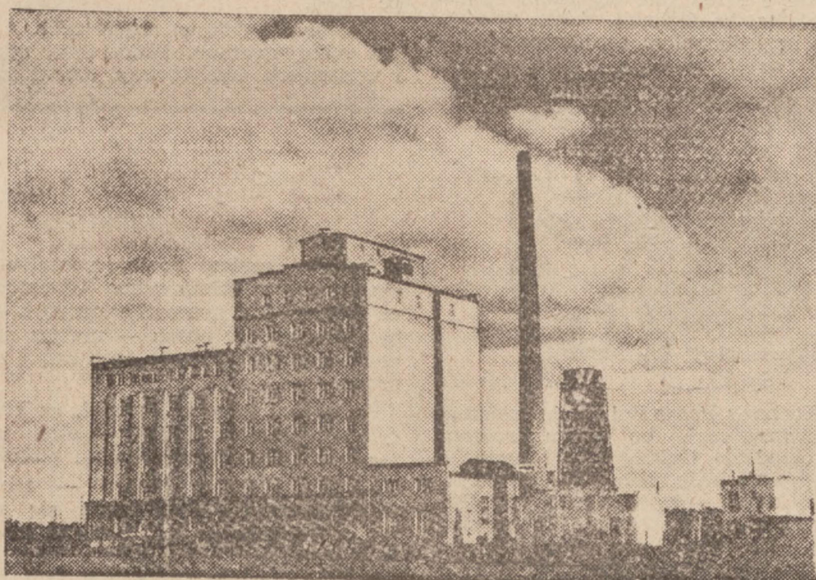
Zdobywa wiedzę zawodową i ogólną przez samokształcenie. Czyż to jest dziwne? Raczej normalne. Wszak prawdziwie inteligentni ludzie są samoukami do starości. Warunki życia zmieniają się, a człowiek żywy umysłowo ciągle się do zmian ustosunkowuje na nowo — czy to w zawodzie, czy to w rozumieniu zjawisk otaczających go.

Tak np. w zawodzie spawacza przyszło opanować technikę acetylenową; rolnik przechodzi od pługa do traktora — musi poznać działanie i obsługę maszyny. A ileż to zmian niesie rozwój nauk, np. chemii, fizyki, biologii, medycyny, ekonomii?! W życiu społecznym i politycznym nowością, o którą się walczyło, jest udział klas pracujących, jako czynnika decydującego; w życiu gospodarczym — zasada planowania. Zmiany te trzeba rozumieć, by dobrze w nowych warunkach żyć i pracować. Sposobem, który umożliwia człowiekowi dorosłemu aktualizację, uwspółcześnianie wiadomości i poglądów, jest niewątpliwie samokształcenie. Drogą samouctwa dokształcamy się też zawodowo, stajemy się zdatni i pożyteczni.

Są ludzie, którzy nawet w ciężkich warunkach doskonalą się w swym zawodzie i sięgają po kulturę umysłową. Rozejrzyjmy się, a znajdziemy ich blisko: przy warsztacie, w bibliotece, na odczycie, w kółku samokształcenia. Uwolnili się oni od przesądu, że tylko dzieci mają pojętne głowy. Nikt dziś w to nie wierzy — człowiek dorosły nie ustępuje pod tym względem dzieciom: jest przecież uważniejszy i rozumniejszy, a pamięć ma nie gorszą.

W kształceniu się wiek jest niczym, potrzeba i wola wszystko znaczy. A potrzeba samokształcenia dyktuje życie. Wymaga ono dobrej pracy i kultury.

MŁYN „SPOŁEM" W SZAMOTUŁACH



Kalendarzyk historyczny

1 MAJ

1576 Koronacja Stefana Batorego i Anny Jagiellonki
1794 premiera „Krakowiaków i Górali" w Warszawie
1890 pierwsze demonstracje pierwszomajowe w Polsce
1894 Krwawe starcia w Łodzi
1919 powołanie Ligi Narodów
1940 zm. Światopełk Karpiński
1945 poddanie się Berlina. Samobójstwo Goebbelsa

2 MAJ

1519 zm. artysta malarz Leonardo da Vinci
1826 zm. poeta Antoni Malczewski
1848 bitwa powstańców wielkopolskich z Prusakami pod Miłosławiem
1921 wybuch III powstania Śląskiego
1943 rozwiązanie III Międzynarodówki

3 MAJ

1660 pokój w Oliwie ze Szwedami
1791 podpisanie Konstytucji 3-go Maja
1798 legiony polskie wkraczają do Rzymu
1923 przyjazd Ferdynanda Focha do Polski
1945 gen. Żymierski zostaje Marszałkiem Polski

4 MAJ

1819 ur. się Narcyza Żmichowska (Gabriela)
1848 proklamowanie republiki w Paryżu
1942 Anglicy lądują na Madagaskarze

5 MAJ

1260 trzęsienie ziemi w Polsce
1789 wybuch Wielkiej Rewolucji Francuskiej
1821 zm. cesarz Napoleon
1846 ur. się Henryk Sienkiewicz
1904 zm. pisarz węgierski Maurycy Jokay
1941 uroczysty wjazd negusa Haile Selassie do Addis Abeby
1945 kapitulacja Niemców w Danii, Holandii i płn. zach. Niemczech. Wyzwolenie Pragi czeskiej przez Armię Czerwoną i powstańców czeskich

6 MAJ

1686 przymierze Jana III z Moskwą
1861 ur. się Rabindranath Tagore,
1868 ur. się Stanisław Przybyszewski
1868 ur. się Władysław Reymont
1892 ur. się poetka Kazimiera Iłłakowiczówna
1941 marsz. Stalin zostaje przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych
1943 oświadczenie min. Wyszyńskiego o utworzeniu armii polskiej w ZSRR.

Odpowiedzi Redakcji

P. Ludwik Rękas — Łódź, ul. Kościuszki 45. Materiały otrzymaliśmy, poszły do oceny.

P. Stefan Josek — Lipowa, pow. Żywiec. Książki nie należy przysyłać. Niepotrzebnie się Pan martwi. Pisma takie przestały już wychodzić.

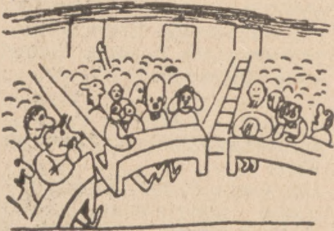
P. Stanisław Krajewski — Ostrzeszów, ul. Kaliska 43. Uwaga słuszna, materiał poszedł do „Sklerozy". Rozwiązania zadań zamieszczone w Nr. 16 dotyczyły Nr 1 jednodniówki p. t. „Rozrywka". Rozwiązania „Konkursu Wielkopostnego" podamy w numerze następnym.

P. W. Sadowski — Warszawa, Okęcie, ul. Lwowska 2. Dziękujemy za miły i serdeczny list. Nadesłane uwagi wykorzystamy. P. Walery Przyborowski nie jest „tym samym, co autor całego szeregu książek historycznych". Zdjęcie zamieścimy.

P. J. Słomińska — Pabianice, ul. Łaska 26. Zdjęcie otrzymaliśmy, ale musi Pani cierpliwie czekać, bo nadszło dobrych zdjęć wiele, a chcemy wszystkim sprawić przyjemność i dlatego konkurs przeciągnie się do jesieni.

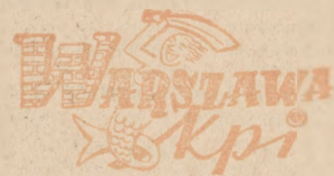
Wesoły TYDZIEŃ

Fraszki



O STOLICY

Jak Warszawa się z głodem
Mieszkaniowym biedzi:
Kilkuset posłów Sejmu
W jednej Izbie siedzi.



W popularnej kawiarni przy ulicy Marszałkowskiej, słynącej z wytworności, rozmawiają dwie warszawianki. Są ubrane „drogo" — wytwornie, palą papierosy, widać na nich przepych, ale...

— Czy byłaś na „SŁOMKOWYM KAPELUSZU"?

— Co? Ja? Słomkowy? Przecie **słomkowe są tera** nie modne...

×

W tej samej kawiarni rozmawiają **dwaj panowie.**

— Popatrz, ten facet elegancko ubrany to aktor, który za Niemców...

— Za Niemców grał, a co robi obecnie?

— Nic nie robi... nie ma czasu, **gdyż jeździ własnym autem...**

×

Podobno warszawscy pisarze zarabiają **więcej od plastyków.**

Ktoś złośliwy powiedział, że to dlatego, bo pisarze malują oczy, a plastycy widocznie tego nie potrafią...

×

Optymiści twierdzą, że Warszawa odbuduje się za 10 lat.

Za lat dziesięć:

— Wiesz, tęsknię do zrujnowanej Warszawy.

— Dlaczego?

— Bo wtedy była przynajmniej nadzieja, że Warszawa się szybko odbuduje.

Quas ROMANTYK

Urocza nieznajoma uśmiechnęła się lekko.

Zawróciłem bez namysłu.

Obcisły kostium uwydatniał niezrównanie kształtną figurę pięknej kobiety. Szła z wdziękiem, stawiając zgrabne nóżki, które zdawały się pysznić urodą swej właścicielki.

Oczy wyłaziły mi na wierzch.

Nie miałem odwagi jej zaczepić. Była to prawdziwa dama. Jej uśmiech mógł być poprostu złudzeniem...

Obciągnąłem marnarkę, poprawiłem kapelusz i przyspieszyłem kroku. Wyminąłem piękną niewiastę i zatrzymałem się przy witrynie sklepowej, chcąc dyskretnie z wyrazu jej twarzy wydedukować swe szanse.

Jak gdyby przyciągnięte moim wzrokiem, spod długich rzęs spojrzały na mnie wielkie fiołkowe oczy. Potem przeniosły się na szybę wystawową, i ledwie dostrzegalny uśmieszek wykwitł na cudnie wykrojonych ustach.

Zerknąłem na wystawę i zrozumiałem.

Stałem przed składem metalowych wieńców i trumien!

Zdetonowany trochę, szedłem za nią, obmyślając metodę działania.

Piękność weszła do cukierni.

Ja za nią.

Usiadła i zażądała lodów.

Zająłem sąsiedni stolik i powtórzyłem jej zamówienie, jak echo.

Bez przekonania łykałem malinowe lody, których nie znoszę.

Zapłaciła i wyszła, nie obdarzywszy mnie ani jednym spojrzeniem.

Czułem swą niezręczność, lecz z uporem brnąłem dalej.

Nagle straciłem ją z oczu. Gwałtownie przebiegłem kilkanaście kroków i odetchnąłem z ulgą. Weszła do czytelni. Przez szybę widziałem jak wybiera stos książek. Doskonale, teraz mam pretekst.

Gdy wychodziła z dużym pakietem w ręce, przystąpiłem z bijącym sercem i uchylając uprzejmie kapelusza rzekłem z wyszukaną grzecznością:

— Pani pozwoli, że pomogę?...

Śliczna nieznajoma spojrzała zdumiona i — o nieba! — wręczyła mi paczkę!

Oszołomiony niespodziewanym powodzeniem, kroczyłem przy niej nie mogąc przemówić słowa. Milczała również, jakby szła sama.

W pewnej chwili weszła do zakładu elektrotechnicznego. Zatrzymałem się niepewnie na ulicy. Po kilku minutach ukazała się w drzwiach i w milczeniu podała mi dwie ciężkie paczki. Książki musiałem wziąć pod pachę, choć było mi bardzo niewygodnie.

Teraz poczułem się jej bliższym. Już otwierałem usta, żeby zawiązać rozmowę, kiedy surowe spojrzenie to warzyszki zamknęło mi je spowrotem.

Zacząłem być zły. Ramię z książkami dokuczało mi bardzo. Pocieszałem się myślą, że piękna pani musi mieszkać niedaleko, skoro wybrała się sama po tak ciężkie sprawunki.

Utwierdziłem się w tym przekonaniu, gdy wstąpiła jeszcze do owocarni po duży arbuz, który bez ceremonii ulokowała pod moją drugą pachą.

Parę razy przystawałem dla poprawienia sobie bagażu, od którego oba ramiona rozbolały mnie nieznośnie. Dama nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi i z trudem musiałem ją dopędzać.

Najchętniej byłbym rzucił wszystko do diabła, gdyby nie nadzieja, że finał przygody będzie bardziej romantyczny. Przecież należała mi się wdzięczność!

Wreszcie z prawdziwym zadowoleniem skręciłem za nią do bramy. Ostatkiem sił przytrzymywałem zdręt wiałymi łokciami przeklęte paczki, wchodząc na schody, które zdawały się nie mieć końca.



— Cóż to za kpiny u diabła?

Na którymś piętrze zadzwoniła.

Drzwi otworzył rozczochrany blondyn w szlafroku z namydloną do golenia twarzą.

Na mój widok zdjął ze stolika kapelusz i laskę i wskazując na opróżnione miejsce rzekł:

— O, tu połóżcie.

— Daj mu mężu za drogę — powiedziała dama znikając w głębi korytarza.

— Cóż to za kpiny, u diabła? Czy ja jestem posłaniec?!

— A kto pan jesteś, mój panie? — zapytał przez zęby blondyn przysuwając się obiecująco z trzymaną w ręce laską.

Najchęniej dałbym mu w zęby. Ale nie lubię awantur. Machnąłem ręką i wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami.

Sylwety z teatru

FRENKIEL

Jeden z największych polskich aktorów, Mieczysław Frenkiel (1859—1935) (50 lat pracy scenicznej, 6.000 przedstawień i 500 !! ról) znany był szeroko ze swego humoru. Z „kawałów", krążących swego czasu po Warszawie, wybieramy trzy, w wersji opowiedzianej przez syna Tadeusza.

Grano sztukę Hamsuna „Jego królewska mość". Frankiel grał króla. Szefa policji — Staszkowski. W akcie II sztuki ów szef, składał królowi listę skazanych na śmierć, na ciężkie więzienie, motywy wyroków itd. Oczywista, cała ta epistoła była wypisana na wielkim arkuszu papieru, łasnym więc było że uczenie się jej na pamięć było zbyteczne. Pewnego dnia Staszkowski postanowił spłatać Frenklowi figla. W akcie II, zgięty jak zwykle w ukłonie, podał rulon z nazwiskami...

— Oto lista skazańców, Najjaśniejszy Panie!

Frenkiel rozwinął arkusz. Był zupełnie czysty. Sekunda namysłu — i zwraca papier Staszkowskiemu.

— Rozkazuję, aby pan sam przeczytał głośno, ekscel[illegible]jo!

Trzeba było słyszeć, jak pod wtór suflera, wybełkotał ową listę wściekły i spocony Staszkowski.

Serdeczna przyjaźń łączyła Frenkla z doskonałym malarzem Stanisławem Lentzem. Przyjaciele często wymieniali ze sobą listy, choć mieszkali zaledwie o kilka ulic od siebie. Oto próbki tej konferencji, która w odpisach krążyła potem po Warszawie.



„Kochany Panie Fe! Z jutrzejszego pozowania nici, bo jestem proszony na obiad do Goldsztanda i nawet u małego nie będę rano. Wieczorem zajdę za kulisy — to pogadamy. Spotkałem na ulicy Czertkowa. Wyprzystojniał. Kazałem Pana pocałować w... Zgodził się chętnie. Żegnam. Pan Le.

Dodajmy, że Czertkow był wówczas generał - gubernatorem warszawskim.

Kto się lepiej zna na malarstwie?

Appeles, malarz grecki, namalował obraz cesarza Aleksandra Wielkiego na koniu. Gdy monarcha przybył, aby zobaczyć ów obraz — malarz napróżno czekał na słowa pochwały i nagrodę.

Za to koń cesarza, Bucefał, na którym Aleksander jeździł, zarżał ujrzawszy swego sobowtóra na płótnie.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł wówczas artysta — ty znasz się na sztuce wojennej, a koń twój na sztuce malarskiej.

Zawstydzony cesarz hojnie obdarował **Appelesa.**

Skleroza

W ubiegłym tygodniu nagrodę za „Sklerozę" otrzymał P. Czajkowski (Brzesko), w postaci książki M. Sadzewicza pt. „Oflag".

DO PANOPTICUM Z TAKIMI RODZICAMI

Krakowskie „Echo Dnia" w n-rze 103-752 zamieszcza „felieton" z sali rozpraw Sądu Grodzkiego:

„Najczęściej przeszkodą taką (do zawarcia małżeństwa, przyp. red.) są rodzice płci żeńskiej, stanowczo stawiający swoje „veto" przy wszelkich próbach powiadomienia ich o chęci odbycia wspólnej z sercem męskim drogi przed oblicze sędziego(!). Urzędu Stanu Cywilnego".

Do sędziego idzie się w sprawie małżeństwa tylko wtedy, kiedy się ma już go (małżeństwa) dość. Dla zawarcia stanu małżeńskiego wystarczy stanąć przed urzędnikiem Stanu Cywilnego.

Najważniejsze jednak, że z rodzicami, którzy są (oboje) płci żeńskiej, nie idzie się ani do sędziego, ani do urzędnika stanu cywilnego, tylko do muzeum osobliwości. Chyba, że się ma sklerozę.

(Nadesłał: W. Czajkowski, Brzesko).

CZEKAMY NA KORESPONDENCJE

W „Wiadomościach sportowych" „Robotnika" nr. 107 w sprawozdaniu z meczu Polska Czechosłowacja, czytamy:

„Tysiące ludzi, którzy nie mogli dostać się na teren boiska, z powodu braku biletów, obozowało w promieniu kilkuset kilometrów dokoła stadionu".

Czekamy na korespondencje widzów który obserwowali mecz piłkarski w Warszawie, siedząc (chyba) na kopcu Kościuszki w Krakowie, na Kasprowym oraz na wzgórzu Malty w Poznaniu.

(Nadesłał A. Gąsiorowski, Warszawa).

KRADZIEŻ, JAKIEJ JESZCZE NIE BYŁO

Łódzki „Kurier Popularny" z dn. 27.III.1948 r. przynosi sensacyjną notatkę pt. „Kieszonkowi złodzieje". Z notatki wynika, że **„kieszonkowi złodzieje"** zrobili przykrość niejakiemu ob. Sztubce:

„Gdy Sztubka powrócił do domu, zastał drzwi otwarte, a mieszkanie ograbione z najcenniejszych rzeczy. Nieznani sprawcy WYNIEŚLI Z DOMU KILKA PAR OBUWIA, UBRANIA, PŁASZCZ ORAZ 9 MTR MATERIAŁU".

Chcielibyśmy wiedzieć, czy to ob. Sztubka miał taką potworną kieszeń, w której trzymał wszystkie ukradzione mu przedmioty, czy któryś z **kieszonkowych** złodziei zaopatrzył sprytnie swoje ubranie w taką kieszonkę. I czy, w tej kieszonce był również wieszak na ubranie, żeby się nie pomięło?

(Nadesłał M. Gajderowicz z Łodzi — Radagoszczy).

CIASTKO Z KWIATÓW

Nie mniej ciekawe ogłoszenie podał „Głos Pomorza" w Nr 83 z dnia 25 marca br.:

„Nowootwarta Kawiarnia „Danuta" Grudziądz ul. Toruńska 14 poleca kwiaty w wielkim wyborze, bukiety ślubne, koszyczki, wieńce. Ceny przystępne. Obsługa rzetelna".

Od dwóch tygodni można więc w Grudziądzu w kawiarni zakupić: bukiety ślubne, koszyczki imieninowe, wieńce pogrzebowe i zjeść w dodatku ciastko z kwiatów.

(nadesłał Zbiguiew Królikiewicz — Grudziądz

MŁYN — GIGANT

W reportażu swoim p. t. „W śpichlerzu Polski" drukowanym w „Życiu Warszawy" i jego mutacjach, pisze p. Stefania Osińska o młynie w Bugaju w Wielkopolsce, który **może przemleć na dobę do 15.000 ton zboża."**

Może, ale nie chce. Nie mamy, proszę pani Osińskiej, takiego młyna w Polsce.

Pozatym: niech pani obliczy ile taki gigantyczny młynek w Bugaju może zemleć w ciągu pięciu dób.

(Nadesłał: R. Mitak, Elbląg).

LOGOGRYF-ŻART

panu E. Grójnackiemu — „Marmisz"

W poniższą figurę należy wpisać 15 wyrazów o podanym znaczeniu. Rzędy środkowe czytane w oznaczonym kierunku dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) wyspa pochodzenia wulkanicznego, 2) kompozytor franc. (1849—1895), 3) roślina tropikalna, 4) miasto na Morawach, 5) maść konia, 6) ewolucja, 7) senny — inaczej, 8) dopływ Wełtawy, 9) przyrząd astronomiczny, 10) nieustrojowe fermenty wytwarzane w organizmach roślinnych i zwierzęcych, 11) miasto w Rosji, 12) rzeka w Niemczech, 13) lekarz węgierski, laureat nagrody Nobla, 14) pierwiastek chem., 15) miasto w woj. poznańskim.

ZAGADKA

Z czterech głosek się składam,
Z nieba moje życie,
Darzę sobą codziennie,
A darzę obficie.
Nie zawsze pożądana,
Ale zawsze z wiosną,
Witacie mnie piosenką
Na ustach radosną.
Odejm pierwszą,
Dotknięcie moje was nie pieści,
Owszem, prędzej przyczyną
Staje się boleści
Teraz czwartą mą głoskę
Połącz z trzecią razem,
To często twarz przy grze
Ozdabiam radości wyrazem.

Marbo.

UWAGA! Rozwiązanie zadań z Konkursu Wielkopostnego podamy w następnym numerze.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W poprzednim kąciku pisaliśmy, że fala rooseveltowskich znaczków powiększyła się o serię abisyńską. Dziś reprodukujemy jedną z wartości lotniczej serii Filipin, na której widzimy prezydenta Quezona i prezydenta Roosevelta na tle flag Filipin i Stanów Zjednoczonych. Cała seria składa się z trzech wartości: 6 c (zielony), 40 c (czerwono - pomarańczowy) i 80 c (niebieski).

×

W numerze z dnia 15 kwietnia br. belgijskiego miesięcznika „La Revue Internationale de Philatelie" czytamy:

„Filateliści tworzą jedną wielką rodzinę, to zrozumiałe. Ale to było dla nas uderzenie zbyt silne, gdy otrzymaliśmy — pełny wybiegu i wahań — list od Herr Direktor Felix Martin z Chemnitz, który, straciwszy swój zbiór „w niszczącym ogniu", nie wątpi, że jego poważni koledzy z Belgii, Francji i innych krajów „przez swój ludzki stosunek" dopomogą mu do jego odtworzenia. Prosi o korespondentów, drogi Herr Direktor. A my mamy ochotę przekazać jego list Stowarzyszeniu Straconych w Breendonck, Buchenwald i innych obozach..."

Bezczelność niemiecka nie ma granic. Ale filateliści tworzą istotnie wielką rodzinę, i ci belgijscy z „La Revue Internationale" i polscy. Stąd też Herr Direktor spotkał się z podobną odprawą w Belgii, z jaką spotkałby się i w Polsce.



Z tego samego numeru „La Revue Internationale de Philatelie" dowiadujemy się, że drogocenne zbiory znaczków, znaleziono przez Aliantów w kryjówkach, w których hitlerowcy zgromadzili je po obrabowaniu prawowitych właścicieli, zostaną w ciągu maja — wskutek nieodnalezienia właścicieli — sprzedane przez firmę Harmer w Nowym Jorku.

Zdobyte w ten sposób fundusze zasilą International Refugee Organization i posłużą do ulżenia niedoli „DP".

×

Wreszcie z tego samego numeru dowiadujemy się, że „nowa polska seria lotnicza ukazuje się partiami: 50 i 100 zł 29 lutego, 75 zł 15 marca. 15, 25 i 30 zł są w druku. Nakład: kilka milionów. Znaczek 15 zł „Wiosna Ludów" ukazał się w początku marca. Nakład nieograniczony. Wreszcie blok „Kultura Polska" wyjdzie prawdopodobnie w maju. Drukowany w Szwajcarii. Cena: 500 zł. Nakład: 50.000".

Oczywiście są to wiadomości w chwili obecnej już nieaktualne. Powtarzamy je jedynie dlatego, by pokazać, że o naszych znaczkach zagranica wie o wiele więcej od nas samych.

Witold J. Orłowski

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Powyżej podajemy zagadkę nr 37, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

10 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

oraz

10 PRENUMERAT KWARTALNYCH TYGODNIA"

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 7 maja br.

WIOSENNY KONKURS

NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W Nr. 14(90) ogłosiliśmy nowy konkurs na rozrywki umysłowe który trwać będzie do dnia 16 maja br. Termin nadsyłania rozwiązań upływa 1 czerwca br.

Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a po między pozostałych, którzy rozwiążą chociaż jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia — również książkowych.

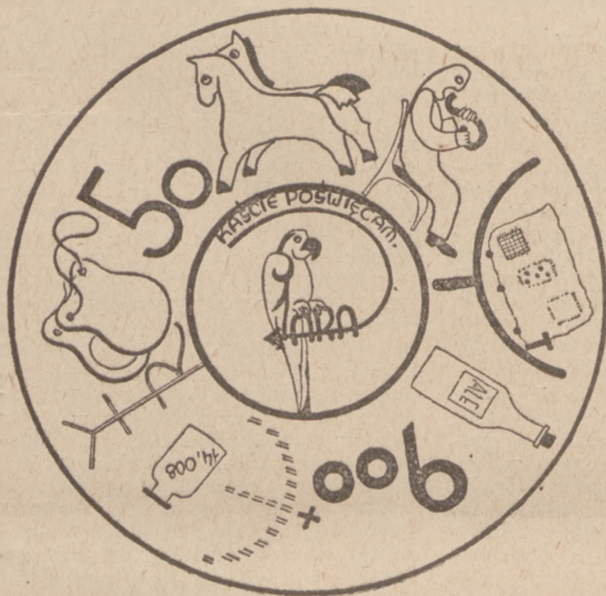
Wraz z rozwiązaniem prosimy nadsyłać opinie, które zadania są najlepsze. Za trzy zadania najlepsze wytypowane przez Czytelników, przyzna ne będą trzy specjalne nagrody książkowe. Prosimy o nadsyłanie nowych projektów.

Kącik BRYDŻOWY

	♠K,10,8 ♥9,5 ♦D,W,8 ♣5	
♠9,4,3 ♥10,8,4 ♦10,9,4 ♣—	N W E S	♠D,7,5 ♥7,6,3 ♦7,5 ♣6
	♠W,6 ♥— ♦A,K,4,3 ♣7,4,3	

Atu karo. „S" zagrywa i bierze wszystkie lewy.

Rebusy kołowe



Ul. A. Rafińska



Ul. „Wimar"

KALAMBURY

1. Gdy filozof z mrówką koncert da jednym zawoła piękna gra.
2. Grosz pono francuski i zaimek w parze dają słuchaczom kojący koncert w darze.
3. Chociaż to nie śmieszne ja się muszę śmiać Zjawa but posiada a boso ją znać.
4. Myślałem, że kwiatek będzie z zieleniaka a to przecież tylko tatuś skorupiaka.

Szarada rebusowa

9 - 2 - 7	3 - 11	5 - 1 - 10	4 - 6	12 - 8

MAJ 9 1948 · J. VERDI OPERA

KRZYŻÓWKA

Poziome: 1 a. gra w karty, 1 f. filozof niemiecki, 3 a. instrument muzyczny, 3 f. wulkan we Włoszech, 4 c. brama, 6 c. dekret papieski, 7 a. substancja lotna chem., 7 f. korab, okręt, 9 a. hartowane żelazo, 9 f. rzeka na Wołyniu.

Pionowe: 1 a. pisarz angielski, 6 a. wyrób cukierniczy, 1 c. pierwsza piłka w tenisie, 6 c. jednostka miary papieru, 3 d. imię męskie, 3 f. kołnierz futrzany, 6 g. mocny napój z trzciny cukrowej, 1 i. tłuszcz rybi, 6 i. legenda, 1 g. zbiór dokumentów.

Ul. I. Krzeszowski

TYDZIEŃ Kobiety

Co każda gospodyni o mleku wiedzieć powinna

Na skład chemiczny mleka krowiego wpływa w różnym stopniu wiele czynników: rasa, wiek i zdrowie krowy, rodzaj paszy, pora roku i czas udoju. Przeciętnie mleko zawiera: 87,57 proc. wody, 3,4 proc. tłuszczu, 3 proc. sernika (kazeiny) 0,5 proc. albuminu i globulinu (związki proteinowe), 0,75 proc. soli mineralnych i 4,6 proc. cukru mlekowego. Oprócz powyższych składników mleko zawiera jeszcze witaminy A, B i C, barwnik i szereg rozmaitych fermentów.

Mleko krowie bezpośrednio po ocieleniu nazywane jest siarą. Siara różni się mocno swym składem chemicznym od mleka i dopiero w 7—8 dni, a u niektórych krów dopiero w 14 dni po ocieleniu jest do użytku. Wysoki procent białka w siarze, zwłaszcza albuminu, który stanowi połowę całej zawartości białka, jest powodem warzenia się siary podczas gotowania. Skład chemiczny siary jest następujący: 2,25 — 6.70 proc. tłuszczu, 11,30—27,3 proc. białka, 1,30 — 3.8 cukru mlekowego, 0,8 — 1.2 proc. soli mineralnych, 27,7 proc. wody.

Mleko kozie nie wiele różni się swym składem od mleka krowiego, ma przytem wyższy procent tłuszczu (4,8 proc.).

Normalnie mleko krowie wrze w temperaturze 101 stopni, a zamarza przy — 0,56 stopnia.

Ponieważ gotowanie zabija witaminy, najkorzystniej byłoby spożywać mleko w stanie surowym. Surowe mleko można pić jednak tylko wtedy, jeżeli pochodzi ono z obór, będących pod nadzorem lekarzy weterynarii. Mamy wówczas pewność, że krowy są zdrowe, obora utrzymana higienicznie, udój odbywa się we właściwych warunkach i spożycie takiego mleka na surowo nie spowoduje zakażenia organizmu.

Mleko jest znakomitą pożywką dla drobnoustrojów i dlatego rozmnażają się one w nim bardzo szybko. Uważajmy więc na czystość mleka!

O czystości mleka łatwo przekonać się, gdy postoi ono parę godzin w szklance: brud osiada na dnie, i jeżeli powoli zlać płyn — to zauważymy ciemne smugi i grubsze cząstki brudu.

Słyszymy niewątpliwie często, że najpewniejszą gwarancją dla zdrowia jest picie mleka pasteryzowanego, nie wszyscy jednak wiedzą na czym ta „manipulacja" polega. Otóż — pasteryzowanie jest to ogrzewanie mleka do 75 stopni bez dostępu powietrza, które ma na celu powstrzymanie fermentacji przez działanie wysokiej temperatury.

Oczywiście, mleko traci na swej wartości odżywczej, o ile pozbawione zostaje części tłuszczu, albo jest rozcieńczone wodą. W ten sposób bywa ono najczęściej fałszowane. Domowymi sposobami trudno z absolutną pewnością stwierdzić te nadużycia. Tutaj mogą odgrywać orientacyjną rolę tylko smak i wygląd zewnętrzny. Mleko sine, bardzo cienka warstwa śmietany na powierzchni — wskazują, że mleko jest zbierane lub rozcieńczone wodą. Kropla mleka zbieranego upuszczona na paznokieć lub na wodę rozpływa się natychmiast, kiedy identyczna kropla mleka pełnego zachowuje swój kształt przez pewien czas.

Mleko jest również fałszowane mąką i sodą. Domowym sposobem fałszerstwa takie nie dadzą się wykryć, gdyż potrzebne tu są badania chemiczne z laboratoryjnymi urządzeniami.

M.T.

Schlebiaj swemu otoczeniu...

Istnieje sześć dróg, aby zdobyć ogólną sympatię. Tak twierdzi pismo "The Litterary Digest" i demaskuje te niezawodne „drogi":

1. Wzbudzaj swą skromną uprzejmością zainteresowanie wszystkich.
2. Uśmiechaj się do wszystkich życzliwie.
3. Weź pod uwagę, że nazwisko każdego człowieka jest mu ze wszystkich nazwisk najpiękniejsze i brzmi dlań najwdzięczniej.
4. Bądź taktownym i cierpliwym słuchaczem, a nawet zachęcaj swych rozmówców, by jak najwięcej o sobie opowiadali.
5. Rozmawiaj tylko o tym, co specjalnie twych rozmówców interesuje.
6. Zdobądź taką postawę, by inni czuli się dobrze w twym towarzystwie i graj tę rolę zawodowo.

Zastosowanie się do tej 6-punktowej recepty ma — według „Literary Digest" — zapewniać stuprocentowe powodzenie wśród ludzi. Jak widzimy, sztuka powodzenia — wątpliwej zresztą wartości — polega na tym, by w delikatny sposób schlebiać swemu otoczeniu i być wyrozumiałym w stosunku do słabostek nie nazbyt mądrych bliźnich.



AKCJA BRAUN

Wykonana dnia 13 grudnia 1943 r.

W parę dni po zamachu na Hergla zabity został Braun gestapowiec, kierownik urzędu dla spraw mieszkaniowych. Za bezwzględne wysiedlanie Polaków i Żydów oraz urządzanie łapanek ulicznych na roboty i do obozów koncentracyjnych, skazany został przez Polskę Podziemną na karę śmierci.

Wykonanie wyroku powierzono batalionowi Wielkiej Dywersji AK „Parasol". Akcję wywiadowczą prowadziła przez trzy tygodnie grupa wywiadu „Rajski". Wywiad stwierdził następujące dane. Braun zamieszkiwał w dzielnicy niemieckiej przy ul. Rozbrat. Codziennie rano, przed godziną ósmą, wyjeżdżał do pracy samochodem, którego numer często był zmieniany. Stwierdzono następujące numery używane przez jego wóz: 8601, 8605 i 8606.

Urzędował na ul. Daniłowiczowskiej Nr 1 3 w gmachu Zarządu Miejskiego. Do biura przyjeżdżał około ósmej.

Sytuacja na Daniłowiczowskiej przedstawiała się następująco. Silny posterunek żandarmerii znajdował się w pałacu Blanka na Placu Teatralnym. W oknach ustawione były lekkie karabiny maszynowe. Przy bramie stale czuwało dwóch wartowników uzbrojonych w MPi.

Na Daniłowiczowskiej i Placu Teatralnym duża ilość przechodzących i uzbrojonych Niemców. W oknach budynku 1/3 lekkie karabiny maszynowe. Przed więzieniem na Daniłowiczowskiej posterunek uzbrojony w Kb.

Oczywiście w tych warunkach powodzenie akcji zależało od dokładnego opracowania planu działania i odpowiedniego doboru ludzi.

W skład oddziału mającego wykonać zamach weszli uczniowie Konspiracyjnej Szkoły Podchorążych „Agrykola". Dowódcą oddziału mianowany został śp. pdch. „Orkan", zastępcą śp. pdch. „Cyklon". Poza tym do oddziału wyznaczono śp. ppor. „Poluksa" (Sarnowski Jerzy), śp. ppor. „Kastora", śp. pdch. „Daniela". Kierowcami samochodów użytych do akcji byli: śp. strzelec „Stefan" i śp. pdch „Bruno". Uzbrojenie oddziału składało się z trzech pistoletów maszynowych „Sten", jednego pistoletu maszynowego MPi-40, trzech pistoletów Vis-9, trzech pistoletów Pb-9, jednego pistoletu FN-6.75, jednego rewolweru Colt-11,4, ośmiu granatów „Filipinka", sześć granatów „Uderzeniówka" i dwóch granatów „Plastikówna".

Wywiad i rozpoznanie przeprowadziły wywiadowczynie: Kama, śp. Tina, Scarlet, śp. Kaja (Huchla Kazimiera). Jako łączniczki do akcji weszły łączniczki: Dewajtis, Zojda, śp. Maja (Huchla Maria) oraz specjalnie przydzielona z grupy wywiadu „Rajski" wywiadowczyni Hanka.

Zadania poszczególnych ludzi w akcji były następujące. Łączniczka Dewajtis, na rogu Rozbrat i ul. Górnośląskiej, obserwuje wyjazd Brauna z domu oraz numer jego samochodu, i zawiadamia o tym Zojdę, oczekującą przy telefonie w jednym ze sklepów na ul. Górnośląskiej. Zojda natychmiast po otrzymaniu wiadomości od Dewajtis łączy się telefonicznie z Mają, dyżurującą przy aparacie w mieszkaniu na ul. Focha Nr 10, podając jej szyfrem godzinę odjazdu i numer wozu Brauna. Z Mają oczekuje również Kaja, która po podaniu jej przez Maję danych otrzymanych od Zojdy, zawiadamia o tym Hankę, oczekującą na Placu Teatralnym. Hanka widząc nadjeżdżający wóz i stwierdziwszy jego numer daje sygnał, przez wyjęcie chusteczki z mufki, Orkanowi. Kastor i Poluks mieli za zadanie zabicie Brauna i zabranie mu dokumentów. Cyklon osłania ogniem Kastora i Poluksa. Daniel ubezpiecza okna pałacu Blanka i ul. Senatorską. Orkan na rogu Senatorskiej i Placu Teatralnego. Samochody oczekują na Senatorskiej w pobliżu Daniłowiczowskiej. Odskok po akcji Senatorską i Miodową do Placu Krasińskich.

W planie akcji wyznaczono dokładnie stanowiska dla poszczególnych uczestników. Hanka zajmuje stanowisko na Placu Teatralnym, gdzie ją obserwuje Orkan, stojący przy podsieniach pałacu Blanka. Kastor i Poluks przy końcu podsieni na Daniłowiczowskiej czekają na znak Orkana. Daniel znajduje się na Senatorskiej, a w chwili rozpoczęcia akcji staje naprzeciw Daniłowiczowskiej. Cyklon na wprost biura Brauna na Daniłowiczowskiej. Bruno i Stefan z samochodami oczekują na Senatorskiej od strony Miodowej.

Akcję wyznaczono na dzień 13 grudnia 1943 r. W wyznaczonym dniu o godzinie 7.30 Dewajtis zajmuje wyznaczony jej posterunek obserwacyjny. Uczestnicy akcji zbierają się na Senatorskiej, gdzie o 7.40 otrzymują od łączniczek broń, przyniesioną dla każdego z nich w oddzielnej teczce. Uzbrojeni zajmują wyznaczone sobie stanowiska o godzinie 7.55.

O 8,04 wjeżdża na Daniłowiczowską samochód oznaczony numerem 8601, chwila napięcia, ale Hanka stoi spokojnie nie dając umówionego znaku.

Wóz przejeżdża nie zaczepiany. O 8,06 zjawia się Kaja z meldunkiem, że Braun wyjechał z domu samochodem Nr 8605. Za chwilę więc rozpocznie się akcja. Kastor i Poluks powoli kierują się w głąb ul. Daniłowiczowskiej. Jednocześnie Orkan stwierdza, że znajdują się pod obserwacją cywilnego agenta.

„Kastor" i „Poluks" dochodzą do końca podsienia, a w tym momencie Hanka, widząc nadjeżdżający wóz nr 8605 i poznawszy siedzącego w nim Brauna daje umówiony znak chusteczką. Samochód wjeżdża w Daniłowiczowską, mijając idących „Kastora" i „Poluksa". Obaj widząc to ruszają za nim biegiem, a za nimi biegnie obserwujący ich agent wyciągając pistolet z kieszeni. W pogoń za agentem rzuca się „Cyklon".

Samochód Brauna zatrzymuje się, przed wejściem. Niemiec wysiada z niego w towarzystwie jakiegoś cywila i elegancko ubranej młodej kobiety. Poluks dobiegłszy do wozu strzela do Brauna, który zorientowawszy się robi szybki unik, pocisk trafia w samochód. Jednocześnie cywil strzela do Kastora dwa razy nie trafiając go. „Poluks" strzela dalej trafiając Brauna w brzuch i dwa razy w głowę. Niemiec pada twarzą na chodnik, a obok niego wywraca się jego towarzysz i kobieta, zlikwidowana stenem „Kastora". O parę kroków dalej kopiąc nogami bruk wykańcza się granatowy policjant, który oddał parę strzałów do naszych chłopców, a którego również trafił „Kastor".

Podczas tego „Cyklon" który złapał biegnącego za „Kastorem" i „Poluksem" agenta rozbraja go, i błagającego na kolanach o życie, wypuszcza, każąc mu iść w kierunku Senatorskiej. Następnie rozpoczyna ostrzeliwać ze Stena okna budynku 1-3 osłaniając ogniem „Poluksa", który po zabraniu teczki z dokumentami od skakuje pod filary. Równocześnie wycofuje się „Kastor", strzelając w okna sąsiednich domów. Widząc to „Cyklon" rzuca pod drzwi urzędu „Filipinkę" i korzystając z powstałej zasłony dymnej, wycofuje się do Senatorskiej.

„Orkan", zajmujący stanowisko na rogu Placu Teatralnego, prowadzi ogień ze Stena, ostrzeliwując okna Pałacu Blanka. Widząc ruch na dziedzińcu i mając skierowany w swoją stronę ogień nieprzyjaciela, ciska pod bramę Pałacu „Filipinkę", cofając się pod filary. Stąd ciska „Uderzeniówkę" i „Plastikówkę", poczym natychmiast po wybuchu wybiega ponownie na róg Placu. Widząc wybiegających z bramy Niemców rzuca im pod nogi „Uderzeniówkę". Przerażeni wybuchem Niemcy, wycofują się w nieładzie w głąb dziedzińca. Wykorzystując ten moment „Orkan" trzyma ich cały czas pod ogniem Stena.

„Daniel" ze swego stanowiska prowadzi ogień z MPi-40 po oknach narożnego domu, z których Niemcy zaczynają ostrzeliwać wycofujących się uczestników akcji z ul. Daniłowiczowskiej. Gdy dotarli na Senatorską, rzuca „Filipinkę" na Plac, dymem odsłaniając odwrót do samochodów. Pod osłoną ognia „Orkana" wszyscy uczestnicy ładują się do wozów. Natychmiast po tym otwierają ogień z samochodów, prowadząc go wzdłuż ul. Senatorskiej w kierunku Placu Teatralnego. Pod jego osłoną wycofuje się „Orkan", wsiadając również do wozu. Oba samochody na pełnym gazie skręcają na Miodową. Na Placu Krasińskich rozchodzą się do domów. Cała akcja trwała **40 sekund.**

Straty niemieckie wyniosły 3 zabitych, 1 granatowy policjant zabity i 3 do 4 rannych. Nasi nie ponieśli żadnych strat.

W. Przyborowski


UŚMIECHY
NOWEJ MODY
Modele i fotografie:
„Harper's Bazaar",
„Vogue",
„Ambassador",
Topical press,
Keystone

Z SZEROKIEGO świata



Szturm! Na froncie wojny domowej w Palestynie walki weszły w stadium decydujące. Na zdjęciu widzimy żołnierza żydowskiej Haganah (po prawej) i żołnierza arabskiego (po lewej) w momencie szturmu.



Kobieta, która wstrząsnęła Imperium Brytyjskim! P. Simpson - Windsor przebywa obecnie wraz ze swym małżonkiem — b. królem angielskim w Stanach Zjednoczonych.



Przywódcy demokracji amerykańskiej na wielkim wiecu lewicowych związków zawodowych w USA. Trzeci od prawej — Wallace, którego nazwisko stało się symbolem demokracji amerykańskiej. Po jego lewej ręce Isacson z żoną, po prawej — M. J. Quill — przewodniczący związku transportowców.



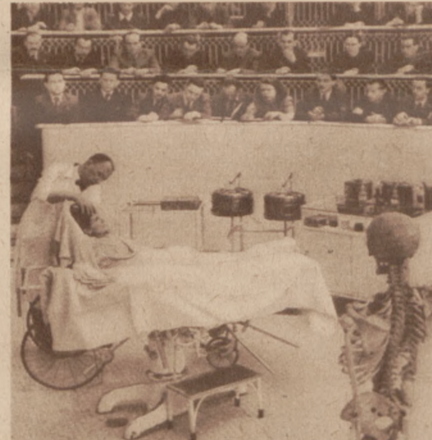
Tłumy robotników amerykańskich manifestują na cześć Wallace'a i Isacsona.



Salvatore Giuliano, król bandytów sycylijskich zaofiarował usługi swojej „mafii" w walce z lewicą.



Uniwersytet Karola IV w Pradze, to najstarszy Uniwersytet słowiański, obchodzi w tym roku swoje 400-lecie. Oto senat akademicki w tradycyjnych strojach na uroczystym posiedzeniu.



Międzynarodowej sławy chirurg, prof. Arnold Jirasek demonstruje nową technikę operacji szczęki wobec studentów wych. medycznego Uniwersytetu Karola IV w Pradze.

„CIEPŁO UZDRAWIA"



Przeziębienie można zwalczyć promieniami podczerwonymi



Naświetlanie czyraków u dziecka



Promienie podczerwone uśmierzają ból zębów

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.
R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk. R. S. W. „Prasa", W-wa